

Pamiętne, ważne rocznice

Sokół w Tłumaczu cd.

Elżbieta Niewolska

Towarzystwa Gimnastyczne „Sokół” w Galicji do 1914 roku powoływano na podstawie austriackiej ustawy o stowarzyszeniach z 1867 r. Do zarejestrowania organizacji przez władze potrzebna była uchwała zebrania założycielskiego, statut oraz oświadczenie osoby prawnej, która wyrażała zgodę na przejęcie majątku towarzystwa w przypadku jego rozwiązania. Wszystkie organizacje sokole przechodziły taką samą procedurę rejestracji przez władze, każde gniazdo posiadało osobowość prawną i w myśl przepisów było odrębnym stowarzyszeniem. Wewnętrzną organizację gniazd określały statuty i regulaminy, które były ujednolicone i typowe dla większości towarzystw. Gniazdo „Sokoła” w Tłumaczu, jak większość gniazd na terenie Galicji było instytucją samodzielną, nie związaną organizacyjnie z „Sokołem” lwowskim pomimo tego, że statuty określały je jako filie lwowskiego towarzystwa macierzystego. Związki te były raczej natury ideowej niż organizacyjnej, łączyła je wspólnota celów i zadań wynikająca z pobudek ideowych i przynależności do jednej społeczności sokolej. Wszystkie gniazda prowadziły własną politykę finansową, budowlaną, kulturalną, oświatową i sportową.

Najważniejszym organem kierującym gniazdem było walne zgromadzenie członków, jako organ ustawodawczy oraz zarząd, współpracujący z komisją rewizyjną i sądem honorowym. Walne zgromadzenie członków ustanawiało i zmieniało statut, wybierało prezesa i jego zastępców, naczelnika, sekretarza, skarbnika, gospodarza, chorążego oraz ich zastępców, członków sądu honorowego i komisji rewizyjnej oraz delegatów do okręgu i Związku Sokolego. Organem wykonawczym i administracyjnym był zarząd (wydział), który kierował bieżącą działalnością gniazda i dysponował jego majątkiem. Na czele zarządu stał prezes, który reprezentował gniazdo na zewnątrz, podpisywał dokumenty, kierował obradami i czuwał nad wykonywaniem uchwał, a wszyscy członkowie w sprawach sokolich winni mu byli bezwarunkowy posłuch. Prezesem tłumackiego „Sokoła” od chwili jego powstania, aż do roku 1922 był Wandalin Walewski, który zmarł 30 stycznia 1922r. W „Dzienniku Urzędu Województwa Stanisławowskiego” zanotowano

wtedy: *Zmarł, mianowany w zeszłym roku starosta przy wojewodzie, a uprzednio sekretarz Rady Powiatowej w Tłumaczu Wandalin Colonna Walewski, który niemałe zasługi na polu narodowym położył w powiecie tłumackim, a, którego staraniem społeczeństwo polskie w Tłumaczu zawdzięcza monumentalny, jeden z najpiękniejszych w kraju gmach „Sokoła”. Zastąpił go dotychczasowy wiceprezes tłumackiego „Sokoła” Edmund Deyczakowski, wieloletni urzędnik Wydziału Powiatowego w Tłumaczu, burmistrz w Ottynii, a także dyrektor tłumackiej Komunalnej Kasy Oszczędności. Pełnił tą zaszczytną funkcję do 1938 roku. Jego wieloletnią działalność społeczną przerwała dopiero śmierć i podobnie jak w przypadku prezesa Walewskiego, z nekrologu umieszczonego w „Sokole Małopolskim” można odtworzyć jakie zasługi poczynił dla środowiska tłumackiego.*



Fot. 5 Edmund Deyczakowski, wieloletni prezes tłumackiego „Sokoła”

W żałobnej karcie wspomnieniowej napisano że: śp. Edmund Gracjan Doliwa Deyczakowski, urodzony w 1873 roku przez niemal 50 lat oddawał się pracy społecznej, oświatowej i narodowej. Już jako uczeń szkoły realnej w Stanisławowie był przewodnikiem młodzieży niepodległościowej. W latach męskich, czy to jako urzędnik w Tłumaczu, czy burmistrz w Ottynii, czy wreszcie jako dyrektor Komunalnej Kasy Oszczędności cieszył się ogromnym autorytetem w całym powiecie. Nie było żadnej akcji publicznej by nie brał w niej żywego, czynnego udziału, świecąc przykładem obowiązkowości, manifestując przy tym wciąż i wszędzie, że wszystko co robi - robi w imieniu „Sokoła”. Na stanowisku burmistrza

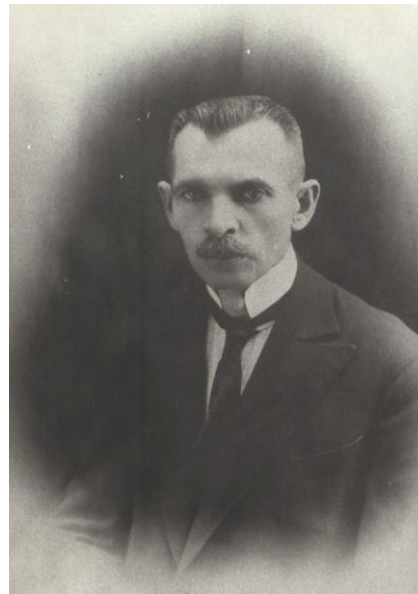
Ottynii i jako prezes tamtejszego gniazda wyjednał u Rady Gminnej piękny plac pod budowę sokolni oraz oddał gotowy gmach „Sokoła”. Organizował także sokole drużyny polowe w najbliższych polskich wsiach. W czasie swojej działalności w Tłumaczu jako wiceprezes, a później jako prezes tłumackiego „Sokoła” nieraz z narażeniem swego codziennego chleba nie pozwolił nikomu tknąć „Sokoła”. Pomimo trudnych, powojennych czasów od 1926 r., tak kierował gniazdem, że „Sokół” tłumacki stał się instytucją, na którą wszyscy spoglądali z szacunkiem. Już jako wiceprezes gniazda tłumackiego rozpoczął prace nad reaktywowaniem zamartwych gniazd włościańskich w okolicy. Śmierć przerwała te prace, ale posiew jego działalności nie pójdzie na marne. Idee „Sokoła”, które tak umiłował dobrze ugruntował w sercach wszystkich druhen i druhów, którzy go otaczali. Od roku 1894 nie było ani jednego Zjazdu Sokolego, ani jednego z większych zebrań sokolich, w których nie brałby czynnego udziału. Posiadał liczne odznaczenia rządowe oraz od towarzystw społecznych za pracę obywatelską. W oddaniu ostatniej posługi śp. Zmarłemu wzięło udział całe miasto i całe obywatelstwo okoliczne. Niechaj mu świeci światłość wiekuista! (1)

Obok prezesa pierwszoplanowe miejsce w organizacji sokolej zajmował naczelnik. Był on organizatorem i kierownikiem pracy gimnastyczno-sportowej. Przewodniczył gronu nauczycielskiemu pracującemu dla „Sokoła”, kierował jego pracą i realizował uchwały dotyczące wychowania fizycznego. Sprawował nadzór nad organizacją pochodów, ćwiczeń i występów publicznych. Pierwszym naczelnikiem tłumackiego gniazda był Ludwik Teyerle, zaś jego zastępcą nauczyciel gimnazjalny Jan Leśniak.



Fot. 6
Jan Leśniak
-nauczyciel
gimnazjalny,
członek
„Sokoła”,
drużynowy
I m. d.
Skautowej
w Tłumaczu

W latach późniejszych funkcje naczelnika pełnił Józef Hrapkowicz. Do obowiązków sekretarza należało prowadzenie biura, przechowywanie księgi protokołów z posiedzeń zarządów, spisów członków oraz innych akt, zaś do obowiązków skarbnika należało prowadzenie ksiąg rachunkowych, zbieranie składek i innych wpływów pieniężnych, przechowywanie tych funduszy, sporządzanie bilansu rocznego i planowanie budżetu na przyszły rok.



Fot. 7
Prof. Józef
Hrapkowicz –
nauczyciel
gimnazjalny
oraz wieloletni
naczelnik
„Sokoła”
w Tłumaczu.

Gospodarz towarzystwa opiekował się budynkiem, inwentarzem towarzystwa oraz sztandarem. Trzyosobowa komisja rewizyjna zajmowała się kontrolą stanu kasy i ksiąg rachunkowych, natomiast sąd honorowy rozstrzygał sprawy dyscyplinarne, spory powstałe między członkami lub członkami i gniazdem oraz rozpatrywał sprawy o wykluczenie.

Jedną z ważniejszych spraw dla braci sokolej było umundurowanie, którą próbowano zrealizować już na samym początku istnienia towarzystwa. Pierwsze próby wprowadzenia jednolitego umundurowania podejmowano w „Sokole” lwowskim w roku 1867 oraz 1870. Jednak plany te nie zostały zrealizowane. Być może nie doceniano jeszcze wtedy potrzeby posiadania jednolitego stroju. Przełom nastąpił dopiero po spotkaniu się z sokołami czeskimi w Krakowie i Wieliczce w 1884 roku, którzy zaprezentowali się bardzo korzystnie, występując w jednolitych strojach i pod wspólnym sztandarem, uświadamiając Polakom potrzebę wprowadzenia podobnego munduru. Jeden z sokołów wspominając to wydarzenie, pisał: „Dla nas lwowian, którzyśmy byli świadkami tej chwili jeszcze pod wodzą śp. Dobrzańskiego, ubrani we fraki i anglezy, widok ten nader był zawstydzającym”. Powołana jesienią 1884 roku komisja do spraw umundurowania ustaliła, że na mundur członka stowarzyszenia miała składać się

szara czamarka kościuszkowska, **(2)** czapka batorówka z rogatym denkiem **(3)** i wpiętym sokolim piórem, szare pantalony, wpuszczone do cholew czarnych lub wiśniowych butów typu polskiego, czerwona koszula, szeroki pas z klamrą, płaszcz i rękawiczki. Polski strój sokoli przejął ważne polskie elementy patriotyczne stroju narodowego, ale także element stroju „Sokoła” czeskiego w postaci czerwonej koszuli.



Fot. 8 Jarosław Prymakowski w mundurze „Sokoła”

Czamarka wykonana była z cienkiego sukna lub płótna, z kołnierzem zapinanym pod szyję. Prządki kurtki ozdobione były pięcioma poziomymi taśmami, na których naszywano guziki, a rękawy zakończone były mankietami wyłożonymi na zewnątrz. Na piersi półkołem zwisały podwójne dwa grube sznury, od lewego do prawego pagonu, które wraz z piórem sokolim z kokardą i sokolikiem przypinanym do czapki, odznaką miejscowa w postaci biało - czerwonej wstążki na piersi z wypisaną nazwą towarzystwa oraz spinką z sokołem wpinaną w kołnierz koszuli, tworzyły stałe odznaki ogólnosokole, noszone z okazji ważnych uroczystości. Niektórzy funkcjonariusze organizacji uprawnieni byli do noszenia odznak służbowych w postaci wełnianej opaski, noszonej na lewym ramieniu, której kolory wskazywały na pełnioną funkcję. Członkowie „Sokoła” posiadali też strój ćwiczebny, a od 1912 roku strój polowy. Na przełomie lat mundur sokoli nie zmienił swojego wyglądu, z wyjątkiem czapki. Batorówkę zastąpiono krakuską czyli czapką rogatywką ze skórzanym daszkiem oraz paskiem. Opracowano jednocześnie regulamin mundurów, który określał szczegółowo warunki i okoliczności używania tego stroju.

Strój sokoli posiadały również kobiety, na który składały się: granatowa, plisowana spódnica, żakiet, biała bluzka z wykładanym, szerokim kołnierzem ozdobionym dużą, czerwoną kokardą lub krawatem. Na głowie sokolice nosiły kapelusze lub berety, ozdobione z lewej strony upiętą rozetką z piórem sokolim. Urodę pięknych, sokolich mundurów można podziwiać na fotografiach (niestety czarno - białych) pochodzących ze zbiorów tłumackich.

Nieodzownym elementem każdego sokolego gniazda był sztandar. Tłumacki sztandar był koloru amarantowego z wyhaftowanym ręcznie, białymi nićmi sokołem w locie i napisem: „Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” w Tłumaczu”. Na drugiej stronie sztandaru prawdopodobnie umieszczony był wizerunek Matki Boskiej i napis „Bóg i Ojczyzna”. Na szczycie drzewca sztandaru zamocowana była mała rzeźba sokoła w locie. Sztandary sokole posiadały również szarfy z różnymi patriotycznymi napisami, takimi jak: „Wiedź Synów Polski do walki - za wiarę, wolność, Ojczyznę”. Tłumacki sztandar posiadał takie szarfy. Jakże były tam umieszczone napisy? Jeżeli ktoś z Państwa pamięta tłumacki sztandar, proszę o uzupełnienie. Piękny opis z uroczystości poświęcenia sztandaru w Tłumaczu znajduje się w wierszu tłumaczki, członkini „Sokoła” Stefanii Maliszowej, który zamieszczam poniżej.



Fot. 9 Poczet sztandarowy Gniazda Tłumacz. Chorąży Michał Kłonowski.

Poświęcenie sztandaru „Sokoła”

Stefania Maliszowa

Czołem! Radośnie hasło nasze dźwięczy
I serca biją nam radosnym echem.
Tak byśmy chcieli, aby blaskiem tęczy
Tę całą salę rozjaśnić uśmiechem,
By naszym gościom dobrze było z nami
Tu w naszej sali między sokołami.

Pomyślcie tylko! Dziś jest takie święto,
O jakim serce nie jest w stanie.
Dzisiaj nam skrzydła do ramion przypięto
I dzwony biją jak na zmartwychwstanie.
I ziemia do nas cała się zaśmiała,
Jakby się w słońcu dusza roześmiała!

Święto sokole! Dzień od lat czekany
I wymarzony w snach sokolej duszy.
Oto przed nami sztandar ukochany,
Nasza ostoja wśród światowej głuszy,
I moc żywotna i symbol polskości
I godło wspólnej, braterskiej miłości.

Sztandar sokoli – rąk serdecznych praca,
Której ścieg każdy jest serca daniną –
Niechaj nam szumi, niechaj nam wyłaca
Każdą myśl naszą; a myśli nie zginą
I w czyn się zmieniają - i tak nas zespolą,
Że będziemy jedną ideą sokołą!

I jedną duszą pod skrzydłem sztandaru,
Pod słodkim wezwaniem Bożej Rodzicielki.
Wpatrzeni w godło nasze pełne czaru
Uczyńmy wszyscy ślub serdeczny, wielki,
Że w całym życiu, zawsze i wszędzie
Sztandar sokoli świętością nam będzie!

A Polska nasza tak nam będzie święta
I taka droga jak matka rodzona
I niechże każdy druh Sokół pamięta,
Że ziemia polska jest nienaruszalna.
I że prawda, jak gwiazda świeci,
Żeśmy tu wszyscy jednej ziemi dzieci!

Złączmy się razem, zwiążmy się łańcuchem
Wspólnych praw naszych – silni tą jednością,
Przejęci wszyscy jednym bratnim duchem
I jedną wielką braterską miłością.
Złączeni wiarą, uczuciem i wolą,
Stworzymy jedną rodzinę sokołą.

Nie będzie wtedy waśni ni urazy,
Znikną różnice, zgoda zajaśnieje,
Nie będzie kłótni, złości i obrazy.
Mieć będziemy wspólne cele i nadzieje,
Świadczące wśród wszystkich i przed całym
światem,
Że jeden Sokół jest drugiemu bratem!

Pracujmy razem! Ramię do ramienia.
Jednością silni i pełni zapału,
Spełniamy ojców i dziadów marzenia,
Służąc tej sprawie w imię ideału.
Niech nas nic z drogi zawrócić nie zdoła,
Bóg i Ojczyzna – to świętość Sokoła!

Patrzcie! Przed nami godło ideału
I nasze święte barwy narodowe.
Jak krew się mieni, krew pełna zapału,
Która stworzyła nasze życie nowe.
I biel tak jasna, jak dusze dziecięce,
Błogosławione Matki Bożej ręce.

Niech błogosławi nam Polski Królowa,
Niech w nas umocni siły i wytrwanie,
Niech w czyn zamieni te gorące słowa,
Rozpali w sercach święte ukochanie –
A Ty Sokole, symboliczny ptaku,
Prowadź przez życie po złocistym szlaku!



Fot. 10 Stefania Maliszowa z synem Mieczysławem.

1) W. Walewski zmarł w 1922 r. E. Deyczakowski był wtedy wiceprezesem „Sokoła” w Tłumaczu i jednocześnie prezesem „Sokoła” w Ottynii. W jego wspomnieniu pośmiertnym jest napisane, że swoją działalność w tłumackim „Sokole” rozpoczął w 1926 r. Nie wiadomo, czy gniazdo tłumackie przez ten czas nie miało prezesa, czy być może ktoś inny pełnił te funkcje. Żadnej wzmianki w dokumentach dra Nikosiewicza na ten temat nie znalazłam.

2) Czamara - męski ubiór wierzchni zwany węgierką, zbliżony do kontusza, z tyłu fałdowany, z szalowym wąskim kołnierzem, długimi rękawami, z sukna szarego, granatowego lub zielonego, szamerowany złotym lub srebrnym galonem, z ozdobnymi guzikami. W Polsce strój mieszczaństwa od XVII w., ulubiony

ubiór w okresie Sejmu Czteroletniego, w XIX w. popularny wśród patriotycznej młodzieży; strój powstańców z 1863 r. Z pewnymi zmianami czamara przetrwała do dziś w niektórych męskich strojach ludowych, np. na Kujawach.

3) Batorówka, magierka, madziarka, w Polsce XVI-XVII w. - czapka węgierska z grubego sukna, bez daszka, o główce płaskiej, okrągłej lub kwadratowej, obszytej

barankiem, zazwyczaj ozdobiona kitą, piórkiem lub barwnymi sznurkami

Uwaga

Artykuł opracowano na podstawie książki Jana Snopki „Polskie Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” W Galicji 1867-1914”, wydanej przez Wydawnictwo Uniwersytetu w Białymstoku, Białystok 1997 r., oraz materiałów zebranych przez dra M. Nikosiewicza.

Eksterminacja Narodu Polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939 – 1945 c.d.

Ks. Józef Wołczański

W poprzednich dwóch numerach ZT. drukowaliśmy wstęp do książki ks. Józefa Wołczańskiego – „Eksterminacja narodu polskiego i Kościoła Rzymskokatolickiego przez ukraińskich nacjonalistów w Małopolsce Wschodniej w latach 1939 – 1945”. Materiały źródłowe, cz. I. W trzeciej części artykułu o eksterminacji kościoła znajdują się wypisy dotyczące parafii Dekanatu Stanisławowskiego w powiecie tłumackim.

Dokument 4.

Pismo ks. Jerzego Doleżala z relacją o walkach frontowych i napadach ukraińskich nacjonalistów w parafii Okniany, Okniany 15 XII 1944 r. (1)

Ekselencjo, Najprzewielebniejszy Księżu Arcybiskupie!

Gorącym moim pragnieniem było osobiście złożyć winną cześć i uszanowanie Ekselencji jako nowemu naszemu Arcypasterzowi(2) – jednakże droga dziś niepewna, a Święta blisko, nie chcę więc ryzykować i pozbawiać parafian Mszy św. podczas Świąt tak uroczystych. Listownie więc śle hołd z synowskimi życzeniami, by dobry Pan Bóg wspierał Ekselencję w pracy, pocieszał w przykrościach, był tarczą w słabości i mocą w przeciwnościach, w najbliższym zaś czasie dozwolił Księdzu Arcybiskupowi oglądać to, czego tak bardzo pragnął zmarły Poprzednik(3) dożyć – by w lwowskiej katedrze zaśpiewać radosne *Te Deum*.(4)

Zbliżają się Święta – pośpieszą kapłani z nowymi życzeniami do stóp Waszej Ekselencji. Do tych życzeń dołączam i ja swoje z głębi serca płynące, by Boże Dziecię pozwoliło Najprzewielebniejszemu Księdzu Arcybiskupowi przepędzić Święta pogodnie i beztrudnie – by Swoją niebiańską radością rozświetliło Ekselencji smutną dzisiejszą rzeczywistość, jak niegdyś swoim zejściem rozjaśniało stęsknionym ludziom dobrej woli ponurą noc herodowych czasów.



Fot. 11 Tłumacz. Pogrzeb Polaków pomordowanych w Nadorożnej (pow. Tłumacz) w dniu 17 marca 1944 r. Zginęli: Józef de Morela Azarkiewicz, Michał Chmielowski, Stanisław Rudolf z synem Stanisławem, Władysław Dołżański, Józef i Stanisław Kaweccy, Franciszek i Władysław Kłodzińscy, Stefan i Tadeusz Pławuszewski, Michał Rudkowski, Kazimierz Samborski, Jan, Mikołaj, Michał, Stanisław, Mikołaj II Smulscy, Jan, Michał, Michał II, Edward Zagórscy. (ze zb. L. Bilińskiej – Filusz)

Nie wiem, jak we Lwowie ludzie przeżywają obecne czasy lecz my, którzy na miejscu przeżywaliśmy 3 razy przejście frontu i kilka miesięcy pod frontem żyliśmy, którzy teraz rzućni wśród jarów i lasów znosić musimy samowolę „potwora leśnego” – i już nie tylko w nocy, ale i w dzień niepewni jesteśmy życia swojego, tę zależność od Bożej Opatrzności odczuwamy niemal zmysłami i wiele razy opieki Bożej doznawaliśmy niemal cudownie i dosłownie. Bóg zbawieniem moim i jedyną naszą radością – to też co piszę, to piszę ze serca. Chociaż też swoją pisaniną zabiorę nieco cennego czasu, uważam jednak za swój obowiązek donieść Waszej Ekselencji o obecnych warunkach pracy duszpasterskiej w moim terenie. Zmianę frontu w lipcu przeżywaliśmy w wielkich obawach.

Po opuszczeniu przez wojska naszej wioski, przeżywaliśmy dni strachu przed znanymi ze swych wyczynów sąsiednimi wioskami – skorzystają z okazji, czy też pozwolą jeszcze żyć? Po tym 3 dni byliśmy pod obustronnym ostrzałem artylerii – ciężkie to były chwile – dni były tak piękne, a jednak nie było czasu rozważać piękności darów Bożych – noce groźne z tą grobową ciszą przerywanych jękiem lecących pocisków i trwożnym pytaniem: Boże! Czy to może dla nas? – i wreszcie ulga, gdy suchy trzask detonacji odzywał się gdzieś dalej. Nie wiem, czy kiedyś w życiu potrafię obudzić w sobie tak szczerą skruchę za grzechy, jak w owe chwile! Przeżywałem kilka razy bombardowanie z powietrza, lecz to zupełnie co innego, gdy na wsi lub małym miasteczku człowiek leży na ziemi, widzi gdzie leci samolot, gdzie celują, jaki ma kierunek bomba – ale ta noc cicha z posępnym jękiem pocisku, który nie wiadomo skąd leci i dokąd, a każdy niesie straszniejsze od śmierci kalectwo na długi czas, wryło się w mojej pamięci.



Fot. 12 Tłumacz. Pogrzeb 36 Polaków pomordowanych w Tarnawicy Polnej (pow. Tłumacz) w 1943 r. Przeniesienie zwłok pomordowanych do kościoła w Tłumaczu. Na cmentarzu ostrzelano kondukt pogrzebowy. (zdjęcia wykonał Edward Kapanowski - ze zbiorów Zofii Kapanowskiej)

A jednak Pan Bóg się pieścił z Oknianami. Bo chociaż ciężkie były chwile, to jednak strat prawie żadnych nie było. Wokoło całe wsie lub w przeważnej części popalone, kościoły i cerkwie poranione, a nawet zniszczone, a w Oknianach ani jedna szybka w kościele nawet nie pękła, domy stoją wszystkie, chociaż wokół niektórych kilkanaście padło pocisków, a niektóre pola podziurawione jak rzeszoto. Ludzi też niemal cudownie otaczał Pan Bóg swoją opieką. Były wypadki, że ludzie zebrani byli w izbie – pocisk trafił w dom – i choć w puch powinien był rozbić lepiankę z ludźmi – pękł gdzieś w więzaniach

dachu lub w ogóle nie eksplodował – były wypadki, że w minutę po opuszczeniu domu lub schronu padał pocisk, a ludzie opodał dziękowali Bogu za wyrwanie z tego miejsca. Szkoda tylko, że pamięć ludzka tak krótka, a pamięć tak słaba.



Fot. 13 Tłumacz. Pogrzeb 36 Polaków pomordowanych w Tarnawicy Polnej (pow. Tłumacz) w 1943 r. Egzekwie w kościele w Tłumaczu odprawia ks. Kopeć.

Miło mi jest dzisiaj wspomnieć, że Mszę św. odprawiałem stale – chorych, rannych, choć przeważnie obrządku gr. – kat. zaopatrywałem natychmiast, gdy tylko dowiedziałem się o wypadku – i starałem się użyć nie tylko pomocy duchowej, ale i ulżyć im w ranach ciała. Nie piszę tego dla chwalenia siebie, lecz dla stwierdzenia faktu, że dobroć nagrodzona będzie już tu na ziemi – bo to, że poszedłem zaopatrzyć rannych greko-katolików, choć powinien to uczynić ich własny duszpasterz i przewiązałem im rany, sprowadziłem potem lekarza wojskowego, dziś choć nie daję jeszcze stuprocentowej pewności życia, to jednak bardzo ułatwia życie w takiej wsi jak Okniany. Teraz spokoju również nie ma. Wielu rzeczy pisać nie można, zresztą nie są to rzeczy nieznane Waszej Ekselencji, gdyż dzieją się także w innych miejscowościach, u nas tylko o tyle gorzej, że żyjemy z boku od traktów głównych, wśród jarów i lasów, ale są też okolice, gdzie jest gorzej nawet niż u nas, dlatego narzekać nie można.

Dnie są jeszcze spokojniejsze, choć i we dnie słychać strzały po lasach, które przypominają, że niebezpieczeństwo blisko, bo i w jasny dzień zdarzają się napady – wojsko musi nieraz staczać formalne potyczki z oddziałami liczącymi kilkuset ludzi. Właściwie niebezpieczeństwo grozi, jak dotychczas, u nas w nocy. Straszne są noce dzisiejsze na wsi. Człowiek ukryty gdzieś na strychu stajni, na stercie słomy czy w obrogu z trwożą śledzi wybuchające od czasu do czasu łuny pożarów w okolicznych wioskach, wsłuchując się w trzask automatów, a nieraz sam miałem

sposobność słyszeć o parę kroków od siebie przebiegających w ciemności „nocnych gości”, szczęściem bez szkody dla mnie. Takie wizyty u nas są niemal każdej nocy, gdyż ci ludzie to są miejscowi, ci co unikają służby wojskowej. Po wioskach polskich lub takich, gdzie więcej Polaków, rzadsze są takie wizyty, gdyż nawet większe grupy unikają otwartego spotkania obawiając się, że ranni lub zabici zdradzą swoje „incognito” (5) i pociągnie to konsekwencje dla rodziny. W Oknianach musimy trzymać się taktyki innej – mężczyźni prawie nie ma – resztki zaś, starsze roczniki, w tych dniach pójdą do wojska. Tak, że raczej trzeba unikać wszelkich zadrażnień, łagodzić wszystko, przemilczeć i uspakajać, opór spowodowałby zło jeszcze gorsze. Na ogół też jest u nas jeszcze nie najgorzej. Liczne nocne wizyty kończyły się rabunkiem tylko, w wielu wypadkach tylko postrachem. Kobiety i dzieci nie ucierpiały w żadnym wypadku, choć nieraz znalazły się w ich ręku. Mężczyźni przezornie unikają spotkania – od lata zginęło trzech i raczej była to uplanowana zemsta osobista i to dziwnym trafem raczej tacy, co to nigdy do kościoła nie chodzili.

Ostatnio widać jakiś zwrot w polityce; napady, przynajmniej u nas, powtarzają się rzadziej, kilka ostatnich nocy idealny spokój – a nawet był wypadek, że jednego Polaka z wieczora zabrali z domu i przepadł bez wieści, drugiego zaś pozostawili w spokoju – przy tym wszystkim zaś, miejscowi mieszkańcy uspokajają nas, że nie mamy się czego bać, nie wiadomo tylko, czy to zwrot ku lepszemu, czy tylko podstęp, by uśpić naszą czujność. Niedawno nawet w związku z tym, jeden z poważnych miejscowych ludzi, greko-katolik ostrzegł mnie, by temu nie wierzyć, lecz mieć się na baczności, gdyż to podstęp – najlepiej, bym na jakiś czas wyjechał do miasta, by uniknąć niebezpieczeństwa; jednakże zdaję się na opiekę Bożą i zostaję na miejscu. Osobistych wrogów nie mam, owszem wielu miejscowych ludzi winno mi jeśli nie życie, to przynajmniej zawdzięczają mi niejedno, obsługuję chętnie parafian, greko-katolików, gdyż miejscowego księdza nie ma od dość długiego czasu, tak, że niebezpieczeństwo grozić mi może nie tyle osobiste, ile raczej ogólne, gdyby mieli zginąć wszyscy Polacy we wsi, jak to miało miejsce na wiosnę. Zachowuję jednak pewne środki ostrożności. Nie nocuję w domu, zapomniałem jak porządne łóżko wygląda, jakiś czas nocowałem na strychu w stajni u pewnej staruszki, samotnej opodal kościoła – przypominałem sobie czasy obozów harcerskich, czasy „sielskie – anielskie”. Teraz przeniosłem się do kościoła i zdaję się poprzestaną na tym, choć trochę zimno w kościele. Wprawdzie Ukraińcy zapewniają mnie, że nie mam się czego obawiać, wiele też domów

ukraińskich wprost ofiarowało mi nocleg, uważam kościół za najpewniejszy nawet w razie śmierci. Co do pracy duszpasterskiej ściśle, to idzie mi dobrze. Ludzie o kościele pamiętają, z nielicznymi wyjątkami wśród mężczyzn. Adoracje miesięczne pierwszego piątku uczęszczane są licznie. Komunii św. rozdałem ponad 3000 – liczba nie imponująca, lecz dziś parafia liczy nie więcej niż 600 dusz. Prób przechodzenia na inny obrządek nie było, poza trzema wypadkami, i to chodziło o dzieci ze względu na „osławiony wyjazd na Zachód”. Pod względem moralnym trzymają się dobrze. Były dwa wypadki *procuratio abortus*, (6) o ile można było się dowiedzieć *in foro externo* (7), były może pojedyncze wypadki złamania wierności małżeńskiej, lecz jeśli się zważy, że większa część rodzin rozbita jest od 4 lub 5 lat, a wiele młodych kobiet zmuszonych było do mieszkania pod jednym dachem przez szereg miesięcy z tymi samymi żołnierzami, to tylko uznać należy uczciwą postawę wobec trudności życiowych ogółu parafian.

To też jest moją nagrodą za wszystko, co musi się tutaj wycierpieć, jeśli zaś Pan Bóg uchroni od nieszczęścia i doda sił, a wytrwam do końca wojny, to będzie dalszą nagrodą, jeśli zaś spotka mnie śmierć, proszę o Mszę św. w mojej intencji. Kończę i przepraszam serdecznie za formę niedbałą i poplamioną, lecz trafia mi się okazja do Stanisławowa, papieru zaś czystego nie miałem. Całuję ręce

Ks. Jerzy Doleżał

- 1) *Okniany* – wieś w powiecie Tłumacz, woj. Stanisławów, miejscowa parafia rzymskokatolicka należała do dekanatu w Stanisławowie.
- 2) *Po śmierci abp. Bolesława Twardowskiego (+22 XI 1944), jego zastępcą został dotychczasowy biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej Eugeniusz Baziak*
- 3) *Abp Bolesław Twardowski (1864-1944), w latach 1918-1923 biskup pomocniczy archidiecezji lwowskiej, w latach 1923-1944, metropolita lwowski.*
- 4) *Te Deum (łac.) – Ciebie Boga wzywamy*
- 5) *Incognito (łac.) – zatajenie swojej tożsamości*
- 6) *Procuratio abortus (łac.) – spędzenie płodu*
- 7) *In foro externo (łac.) – na forum zewnętrznym*

Dokument 5.

Pismo ks. Jerzego Doleżała z relacją o mordach ukraińskich nacjonalistów w parafii Okniany i ewakuacji reszty parafian, Stanisławów 10 III 1945 r.

Do Najprzewielebniejszej Kurii Metropolitalnej obrządku łacińskiego we Lwowie
W związku z odezwą w sprawie Seminarium duchownego z września ubiegłego roku, którą otrzymałem dopiero w grudniu po Świętach Bożego Narodzenia, wysłałem z początkiem roku bieżącego 1000 rubli za pośrednictwem Ks.

Prałata Bilczewskiego – zaś drogą prywatną 1500 rubli – nie wiem tylko, czy te pieniądze doszły; proszę więc przy okazji o wiadomość!

Wczoraj, t.j. 9 III b.r. wysłałem na rzecz seminarium duchownego za pośrednictwem siostry Józefitki z Tłumacza 500 rubli. Jednocześnie posłałem przez ręce pani Józefy Boberskiej z Tłumacza (poleconej mi przez księży w Tłumaczu) tej samej, która miała podać na seminarium duchowne 1500 rubli, jeszcze około 400 rubli na wino i świece należne mi od początku roku. Jednakże pani Józefa Boberska ze Lwowa nie wróciła do Tłumacza i nie mam wiadomości, co stało się z pieniędzmi oraz z winem i świecami. Proszę więc o wiadomość za pośrednictwem zakonnicy, która poda pieniądze na seminarium. Jednocześnie donoszę, że od miesiąca wraz z wszystkimi parafianami opuściłem wieś Okniany. Paramenta(1) kościelne, księgi parafialne, portatyle(2), obrazy i to, co można było wynieść, poza ołtarzami, organami i ławkami, zabrałem ze sobą do Tłumacza.

Obecnie parafianie moi zamierzają wyjechać razem, jako cała parafia na Zachód, gdyż życie na wsi jest tutaj w dzisiejszych warunkach niemożliwe i trudno nawet w Tłumaczu czekać na ukończenie wojny i powrót do Oknian, Tłumacz też liczy się z możliwością wyjazdu. Wobec tego proszę o wskazówki: czy jechać wraz z parafianami, czy też pozostać w diecezji, w razie zaś ewentualnego wyjazdu, czy zgłosić się do Najprzewielebniejszej Kurii po papiery i jakie.

Ks. Jerzy Doleżał - administrator

P.S. W nocy z dnia 3 III na 4 III spalone zostało we wsi Boskie(3) należącej do parafii Okniany 22 gospodarstwa i dwóch ludzi żywcem spalonych, zaś kilka dni przedtem – cztery gospodarstwa w Oknianach i kilkoro ludzi wprowadzono do lasu; od pożaru za sąsiedniego budynku spaliła się w Oknianach stodoła i stajnia należące do probostwa. Probostwo jednakże i kościół stoją nie ruszone. Osobiście skarżyć się nie mogę, gdyż nie doznałem w ostatnich czasach żadnej szkody, mimo że kilka razy z bandytami zetknąłem się w nocy, w czasie gdy jeszcze byłem w Oknianach. W sąsiednich wioskach obeszlą się gorzej. W sąsiedniej wsi Kutyska, parafia Niżniów zabili w nocy 49 osób – bez względu na płeć i wiek – w samym nawet Niżniowie podobno spalili klasztor i kościół. Taka pogłoska rozeszła się w Stanisławowie.

1) *Paramenta* - szaty liturgiczne (sakralne); dawn. wszelkie sprzęty kościelne

2) *Portatyle* – przenośne ołtarze, które miały postać małych, kwadratowych tablic marmurowych, w których

biskup podczas jej poświęcenia umieszczał relikwie świętych męczenników.

3) *Boskie* – gromada w gminie i powiecie Tłumacz, należała do parafii rzymskokatolickiej Okniany

Dokument 8.

Pismo ks. Józefa Michalaka z relacją o napadzie ukraińskich na parafię Tarnawica Polna, Tarnawica Polna 17 II 1944 r.

Do Najprzewielebniejszej Kurii Metropolitalnej
obrzędki łacińskiego we Lwowie.

Uprzejmie proszę o nadesłanie intencji do binacji. Mam tylko dwie intencje na to przeznaczone. Wysyłam 20 zł za *ordo divini* (1) za 1944 r. W parafii mojej porwano 4 Polaków bez wieści. Dziś w Tarnawicy polnej (2) był alarm Bogu niech będą dzięki, dotychczas trzymamy się, ale dobrze pilnujemy.

Z urzędu parafialnego obrzędki łacińskiego Ks.
Józef Michalec, Tarnawica polna, 17 II 1944

- 1) *Ordo divini* (łac.) – służba Boża, kalendarz liturgiczny
2) *Tarnawica polna* – alternatywna forma zapisu nazwy wsi – Tarnawica Polna

Dokument 9.

Pismo ks. Franciszka Piszczora z relacją o mordach ukraińskich nacjonalistów i likwidacji parafii Tłumacz, Stanisławów 6 VII 1945 r.

Do Najprzewielebniejszej Kurii Metropolitalnej
obrzędki łacińskiego we Lwowie.
(W sprawie zlikwidowania parafii
rzymskokatolickiej w Tłumaczu)

Już w czasie trwania frontu w okolicach Tłumacza od połowy kwietnia do 25 lipca 1944 r. kilkadziesiąt rodzin (parafian) wyjechało z Tłumacza na Zachód w obawie przed ciężkimi walkami, do których Niemcy czynili przygotowania oraz przed morderstwami, które w parafii tłumackiej i w okolicy miały miejsce na przedmieściu. Po wkroczeniu wojsk sowieckich, chwilowo życie w parafii odżyło, ale już wczesną jesienią rozpoczęły się na nowo mordy, podpalania, uprowadzania do lasu przez grasujące bandy. Ludność z wiosek zaczęła uciekać do Tłumacza albo do Tarnawicy Polnej, gdzie udali się parafianie z Hryniowiec(1)

Po ogłoszeniu umowy o repatriacji(2), odbyło się w Tłumaczu zebranie zwołane przez miejscowe władze, na którym ogłoszono, że wszyscy Polacy muszą opuścić te tereny. Ludność początkowo ustosunkowała się do tego wezwania biernie i nikt w jesieni nie repatriował się. W jesieni mordy i uprowadzenia w okolicy i samym Tłumaczu powtarzały się coraz częściej, a 17 listopada

większa grupa napadła miasto, uprowadziła swoich członków i zostało zamordowanych 10 parafian. Ponieważ władze miejscowe ustosunkowały się całkiem obojętnie do tego faktu, uważając, że oni radzili, by Polacy wyjechali, jednostki zaczęły się rejestrować i wyjeżdżać. Podobne napady powtórzyły się kilkakrotnie, tak, że ludność coraz częściej zaczęła opuszczać Tłumacz i wyjeżdżać do Stanisławowa, szukając bezpieczniejszego miejsca. Od 1 stycznia 1944 r. do końca czerwca 1945 roku zamordowano i uprowadzono na śmierć do lasu z parafii tłumackiej 97 osób.

Mimo, że parafia topniała coraz bardziej, staraliśmy się pracować normalnie; na wiosnę odbyło się przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunii św., a w dzień Zielonych Świąt przystąpiło do pierwszej Komunii 23 dzieci z tłumackiej i sąsiednich parafii, które już wówczas przestały istnieć. Różnymi szykanami ze strony władz, a morderstwami i rabunkami ze strony band przyspieszano wyjazd ludności do Stanisławowa, kilkakrotnie wyznaczano terminy i oficjalnie ogłaszano, do którego czasu wszyscy Polacy muszą opuścić Tłumacz. Ponieważ pomimo to część ludności uparcie trwała na miejscu, w ostatnim czasie organy NKWD rozpoczęły przemocą usuwać ludzi z mieszkań. Z końcem marca przyjechał delegat z Komitetu Ewakuacyjnego(3) do Tłumacza, wszystka ludność należąca do naszej parafii zarejestrowała się, widząc to i orientując się na podstawie miejscowych stosunków, że wstrzymanie się od rejestracji może grozić utratą życia, ja i ks. Kopeć zarejestrowaliśmy się również.

Dnia 21 czerwca 1945 r. przyszło do mnie dwu wojskowych i nakazali opuścić Tłumacz do trzech dni, a jeżeli do trzech dni nie wyprowadzę się, to po upływie tego terminu bez żadnych rzeczy wywiozą siłą. Wówczas udałem się w tej sprawie

do miejscowych władz i udało mi się jedynie przedłużyć termin wyjazdu na kilka dni. Z końcem czerwca, zabrawszy z kościoła rzeczy możliwe do przewiezienia, wyjechałem do Stanisławowa. Ks. Kopeć pozostał jeszcze na kilka dni w Tłumaczu, a po wyjeździe reszty parafian dnia 5 lipca 1945 r. złożył klucz od kościoła w urzędzie gminnym i przyjechał również do Stanisławowa.

Stanisławów, dnia 6 lipca 1945

Ks. Franciszek Piszczór

1) *Hryniowce – wieś w powiecie Tłumacz, woj. Stanisławów; należała do parafii rzymskokatolickiej w Tłumaczu.*

2) *Termin użyty w formie propagandowej przez ówczesne władze komunistyczne ZSRR i PRL; właściwie trzeba mówić o ekspatriacji Polaków z ziem wschodnich byłej II Rzeczypospolitej po 1945 roku. We wrześniu 1944 r. PKWN zawarł umowy z władzami Białoruskiej SRR i Ukraińskiej SRR, a 6 VII 1945 r. Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej podpisał porozumienie z rządem sowieckim w sprawie tzw. Repatriacji. Deklarowały one możliwość wyboru przynależności państwowej i miejsca pobytu (Polska lub Zw. Sowiecki) tym Polakom i Żydom z Kresów Wschodnich, którzy udokumentowali swoje obywatelstwo polskie sprzed 1939 r. Dnia 7 X 1944 r. powstał Państwowy Urząd Repatriacyjny, zajmujący się procedurą przesiedleń na Zachód. W. Roszkowski, „Historia Polski 1914-1996, Warszawa 1997, s.157.*

3) *Inne określenie Państwowego Urzędu Repatriacyjnego*

Dokument 10.

Nota ks. Zygmunta Hałuniewicza w sprawie ewakuacji parafii Tłumacz do Stanisławowa, Lwów 12 VII 1945 r.

Ks. Piszczór – administrator wyjechał z częścią ludności do Stanisławowa – (czeka na transport). W miejscu przebywa jeszcze ks. Kopeć Edward.

Koniec

Wycieczka na Kresy

Irena Rosowska

W dniach od 1 do 6 czerwca 2007 roku odbyła się wycieczka na Kresy zorganizowana przez Dolnośląską Rodzinę Katyńską we Wrocławiu, której tematem przewodnim były Polskie cmentarze – Lwów, Kijów i Charków. W wyprawie uczestniczyli głównie potomkowie pomordowanych przez NKWD jeńców wojennych; dzieci, wnuki i prawnuki. Pierwszym miastem na trasie naszej wycieczki był przepiękny Lwów, miasto o niepowtarzalnym klimacie, które mimo prowadzonych tam prac remontowych wymaga jeszcze wielu nakładów i wysiłku, aby mogło się

stać prawdziwą „perełką wschodu”. Najgorsze są tam drogi i system komunikacyjny oraz zaplecze turystyczne. We Lwowie zwiedzaliśmy cmentarz Łyczakowski wraz z cmentarzem Orłąt Lwowskich, (Fot. 34) a następnie Kijów – piękne, zadbane i nowoczesne miasto, odbiegające standardem życia od pozostałych miast Ukrainy.

Najbardziej wstrząsającym dla mnie miejscem była Bykownia, ukraińska wieś, położona w obwodzie kijowskim, w bliskim sąsiedztwie Kijowa. Pobliski lasek bykowieński to miejsce masowych mordów w czasach stalinowskiego terroru. Szacuje się, że leży tam od kilkunastu do stu tysięcy osób, głównie z lat 1937 i 1938, a także 1940-41. Według najnowszych badań wiemy, że spoczywa tu 3,5 tysiąca obywateli polskich, z tak zwanej

„ukraińskiej listy katyńskiej”, których miejsca pochówku trudno dokładnie ustalić, na skutek wielokrotnego przemieszania wszystkich mogił. Pewne przesłanki mówiły o tym, że Polaków wywożono do Kijowa - i tam ślad się urywał. Być może, ich zwłoki ukryto właśnie w Bykowni.

Jest możliwe, że właśnie tam spoczywają szczątki mojego dziadka, ojca mojej mamy, Jakuba Panachidy – emerytowanego policjanta, który został aresztowany pod koniec września 1939 roku w Tłumaczu, osadzony w więzieniu w Chersoniu, a następnie w ramach akcji „rozładowywania” obozów przez NKWD wysłany transportem kolejowym na śmierć do więzienia przy ul. Karolenkiwskiej 17 w Kijowie. Prawdopodobnie tam, w maju 1940 roku mój dziadek został zamordowany strzałem w tył głowy, jego zwłoki załadowano do samochodu, wywieziono do lasu bykowieńskiego, gdzie wrzucono je do uprzednio wykopanego dołu.

Pod skromnym krzyżem upamiętniającym miejsce mordu odprawiona została msza polowa w intencji Jakuba Panichidy, innych Tłumaczan (o których mowa w ZT 1(35)2005) oraz wszystkich zamordowanych przez stalinowski reżim. **(Fot.36)**.

Na zakończenie mszy córka Jakuba Panachidy, Anna Bocheńska powiedziała wzruszający wiersz Bułata Okudżawy w tłumaczeniu Andrzeja Jareckiego:

*Zabili mojego ojca! Za co?
Za niuch tabaki tyle płacą
co ołowiana kula warta,
A rana boli wciąż otwarta.*

*Nie zdążył krzyknąć, było cicho ..
I tylko wystrzał trzasnął w dali,
Dawno przebrzmiało jego echo,
A rana wciąż otwarta pali!*

*Niby sztafetę nowym dniom
Wciąż niosę ją od tamtej pory.
I chyba kiedyś umrę z nią,
Stale tak samo przez nią chory.*

*A ten co strzelał doń o krok,
Gdy każą nowy grób wykopie.
Opuścił swej piwnicy mrok
I wypoczywa na urlopie.*

*Za swoim stołem właśnie siadł,
Napit się wódki, głaszcze dzieci.
To mój w rodzinie ludzkiej brat,
To rodak mój i krajan przecież.*

*Który to już z kolei rok,
Gdy pamięć bólu znów się zaćmi.
Idziemy razem krok w półkrok,
I nazywamy się wciąż braćmi.*

W nadziei i oczekiwaniu na powstanie kolejnego Polskiego Cmentarza Wojennego w Bykowni, które - jak w wypadku Katynia, Charkowa i Miednoje - w sposób godny utrwali pamięć spoczywających tam Ofiar zbrodni, nabrałyśmy z mamą ziemię z miejsc o widocznych śladach po ubiegłorocznych ekshumacjach. **(Fot. 35)**

Następnego dnia byliśmy już w Charkowie. Wczesnym rankiem udaliśmy się na Cmentarz Ofiar Totalitaryzmu w Piatichatkach, gdzie spoczywają oficerowie Wojska Polskiego i innych formacji militarnych II Rzeczypospolitej. Teren, na którym znajdują się mogiły, zawarty jest w granicach tzw. „czarnej drogi” i zajmuje łączną powierzchnię 2,31 ha. Doły, ukrywające zwłoki polskich oficerów i obywateli Ukrainy, były wykopywane w obrębie tej symbolicznej drogi. „Czarna droga” oraz przylegające do niej mogiły stanowią jedność. Dla podkreślenia dramatu zbrodni miejsca te zostały zaznaczone czarną bazaltową kostką. Groby w formie kurhanów są także pokryte czarną, drobną kostką bazaltową, a jej kamienie uświadamiają ilość ludzi spoczywających w każdej mogile. Z centralnych punktów kurhanów wyrastają żeliwne krzyże - na mogiłach polskich rzymskokatolickie, na mogiłach ukraińskich prawosławne. Obszar cmentarza wyznaczony jest pętlą „czarnej drogi”, a nieregularne obrysy grobów przecina symetryczna aleja z 3.800 inskrypcjami indywidualnymi - mają one formę odkrywki archeologicznej. Centralnym punktem cmentarza jest dwuczęściowa żeliwna, czarna ściana z podziemnym dzwonem oraz krzyżem. Płaszczyzna żeliwnej powierzchni niczym karta historii zapisana jest nazwiskami ofiar. Wszystkie elementy miejsca centralnego stanowią epitafium zbiorowe. Pod ścianą epitafium w specjalnej niszy, poniżej poziomu ziemi, został umieszczony dzwon, którego stłumiony dźwięk ma symbolizować prawdę niemożliwą do ukrycia nawet pod ziemią. Na powierzchni dzwonu został wyryty tekst Bogurodzicy i nazwa dzwonu „Charków”. Po przeciwnej stronie centralnego punktu cmentarza na osi z przecięciem „czarnej drogi” znajduje się epitafium zbiorowe - żeliwna ściana i prawosławny krzyż. Na płaszczyźnie ściany zapisane są nazwiska ofiar – zamordowanych mieszkańców Charkowa i okolic. Główne wejścia na cmentarz stanowią obeliski z polskim orłem wojskowym i godłem Ukrainy. Między tym symbolicznym wejściem a właściwym terenem cmentarza po lewej stronie usytuowane są znaki wyznań. Symbolizują one cztery religie, których wyznawcy spoczęli w na tym cmentarzu. Przed epitafium usytuowany jest żeliwny ołtarz - stół ofiarny, przy którym odprawiona została Msza święta w intencji pomordowanych członków rodzin.

W mszy uczestniczył konsul Rzeczypospolitej Polskiej w Charkowie, który po zakończeniu uroczystości na cmentarzu zaprosił nas do Konsulatu na poczęstunek. (Fot.37).

Z Charkowa ruszyliśmy w drogę powrotną przez Kirowograd i Lwów do Wrocławia.

Ziemia Stanisławowska

Ziemia stanisławowska-przewodnik c.d

Stanisław i **Tadeusz** Pelikan

Kołomyja – miasto powiatowe na lewym brzegu Prutu przy linii kolejowej Stanisławów - Śniatyń, Delatyn - Jasienów, Kołomyja - Kniaźdwór. Najstarsza wzmianka pochodzi z 1240 r. Istnieją różne wersje związane z pochodzeniem nazwy Kołomyi. Jedna z nich wywodzi ją od rzymskiej Colonii czyli osady. Druga od króla halickiego Kolomana, który po przybyciu na tron halicki miał założyć miasto w 1214 r. Inna wersja wywodzi tę nazwę od rzeki Myja, a więc osada leżąca koło rzeki Myi stała się Kołomyją. Jest jeszcze inna wersja, która opiera się na połączeniu ruskich słów *chołm* – wzgórze i *myja*, stąd powstała Chołomyja, a tym wzgórzem miały być pobliskie Oskrześnińce.



Fot. 14 Kołomyja – Rynek

Po zajęciu Rusi Halicko-Włodzimierskiej w latach 1340-1349 Kazimierz Wielki nadaje Kołomyi prawo Magdeburskie. Miasto zaczęło się rozwijać i stało się ważnym ośrodkiem handlowym. Pierwsza wzmianka o zamku w Kołomyi pochodzi z 1411 r. Wiadomo, że leżał on nad Prutem, otoczony wałem ziemnym z częstokołem i fosą. Był ratusz i kościół dominikański z klasztorem ufundowanym przez Władysława Jagiełłę w 1412 r. W roku 1485 na polach kołomyjskich odbyło się uroczyste złożenie hołdu przez Stefana Wielkiego, hospodara mołdawskiego, królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi. W 1513 r. Wołosi palą Kołomyję niosąc zniszczenie aż po Halicz. W 1532 r. zamek zdobywają Mołdawianie, a w 1589 r. Turcy.

W Kołomyi uczczono pamięć Franciszka Karpińskiego wzniesieniem pomnika. Przedstawiał on postać poety na czworobocznym postumencie. Na jednej jego stronie widniało imię i nazwisko poety, na drugiej pierwsza zwrotka pieśni „*Kiedy ranne wstają zorze*”. Odsłonięcie pomnika nastąpiło we wrześniu 1880 r. podczas wystawy etnograficznej. Uznawano to miasto za stolicę Pokucia, było ono siedzibą wielu władz, instytucji i szkół, posiadało Muzeum Pokuckie. Była tu rafineria nafty, fabryka mydła, przemysł ceramiczny, browar, garbarnia, młyny oraz znaczny handel.

Kniaźdwór – wieś w powiecie kołomyjskim, niedaleko Kołomyi. Przechował się tu największy w Europie rezerwat cisu, tego wymierającego gatunku.

Konkolniki - miasteczko w powiecie rohatyńskim nad Narajówką. Tutejszy zamek restaurował Grzegorz z Sanoka (1406-1477), humanista, poeta, który tu zmarł. Kościół założył i wyposażył w 1421 r. arcybiskup lwowski Rzeszowski.

Kosów – Miasto powiatowe położone w malowniczej okolicy. Odznacza się łagodnym klimatem, słynie z sadów owocowych i owoców południowych. Atrakcyjne jarmarki i targi, na które przybywała okoliczna ludność w regionalnych strojach. Wysoko był rozwinięty przemysł tkacko-kilimiarski oraz artystyczno-garncarski i snycerski. Były tu tartaki, młyny, cegielnie. Tu znajdował się najpiękniejszy z wodospadów „Huk”. Istniał popularny zakład wodoleczniczy dr A. Tarnawskiego, energicznego propagatora klimatyczno - uzdrowiskowego znaczenia Pokucia.

Krechowce – wieś w pow. stanisławowskim. Na polach pod Krechowcami 24 lipca 1917 r. ułani polscy w składzie II Korpusu Kawalerii Rosyjskiej powstrzymali atakujące oddziały austro-niemieckie, osłaniając odwrót rosyjskiej 11 dywizji piechoty. Pułk zwano odtąd I pułkiem ułanów Krechowickich im. płk Bolesława Mościckiego.

Kryłos – wieś w pow. stanisławowskim, niegdyś warownia grodu halickiego. Pierwotna siedziba biskupów halickich. Biskup lwowski Gedeon Bałaban w latach 1576-1607 założył tu pierwszą

drukarnię ruską. W 1660 r. tu wydrukowano cyrylicą „Ewangelie nauczające na niedzielę i święta” i inne.



Fot. 15 Kosów – willa dr A. Tarnawskiego

Krzyworówna – wieś w pow. kosowskim leżąca między Żabiem i Kutami. Tutaj stał dwór, który zamieszkiwali krewni ze strony matki pisarza Stanisława Vincenza. Krzyworówna leży w dole. A wyżej – pisze Vincenz – *ku szczytom szum lasu z wierchołka Kiczory, szum Czeremoszu ledwie dostyszalny z głębi doliny – cisza, niebo i słońce górskie.*



Fot. 16 Kościół ormiański w Kutach - akwarela

Kuty – miasto w pow. kosowskim przy linii kolejowej Śniatyń – Kuty, nad Czeremoszem, w pięknej, górzystej okolicy, dość szeroko rozrzucone u stóp wzgórza Owidiusza. Było to najdalej na południe wysunięte polskie miasto, należące do najśłoneczniejszych w Polsce. Tradycja mówi, że Kuty założył przybyły z Mołdawii Ormianin Szadbej. Musiała tu jednak już wcześniej istnieć jakaś osada, bo w 1469 r. Jan Odrowąż przedstawił dokumenty, na mocy których nabył wieś królewską Kuty. Wielu tu było Ormian i Żydów. Ormianie trudnili się kupiectwem i wyrobem safianów. Istniały tu słone źródła, a do 1790 r. warzelnie soli. W ostatnim czasie Kuty

były ośrodkiem artystycznego przemysłu ludowego: kamieniarstwa i wyrobów glinianych, fajansów.

Łanczyn – wieś w pow. nadwórniańskim przy linii kolejowej Kołomyja – Delatyn. Pięknie położona w górzystej okolicy, źródła solankowe, młyny.



Fot 17. Kościół ormiański w Łyścu

Łysiec – miasteczko w pow. stanisławowskim nad Bystrycą Sołotwińską. Było to jedno z większych skupisk Ormian, którzy mieli tu fabrykę safianów. W 1699 r. Andrzej Potocki ufundował im duży, drewniany kościół, jako miejsce przechowywania XVI-wiecznego obrazu matki Bożej z katedry ormiańskiej w Kamieńcu Podolskim. Podczas wielkiego pożaru Łyśca w 1779 r. kościół spłonął, obraz jednak uratowano. Zbudowany nowy kościół również spłonął trzy lata później. Budowę nowego kościoła rozpoczęto w 1834 r., a konsekrowano w 1883 r. W latach 1917-1920 oraz 1944-1945 obraz przechowywany był w Stanisławowie, by wreszcie w październiku 1950 r. znaleźć się w kościele św. Trójcy w Gliwicach, Obraz Matki Bożej Łysieckiej ścierał niegdyś do Łyśca liczne pielgrzymki, zwłaszcza w dniach 14-18 sierpnia.

Maniawa - wieś w pow. nadwórniańskim nad rzeką Maniawką, dopływem Bystrzycy Sołotwińskiej, znana z imponujących ruin skitu prawosławnego. Założycielem dawnego monasteru na początku XVII w. Był bazylianin Jan Knhinicki (Jow) z Tyśmienicy. Skit ukryty był w głębokim jarze, otoczony z trzech stron górami, pokrytymi gęstym lasem. Potężne mury, bramy i maszty stanowiły solidną zaporę przed napadami Tatarów. Dodatkową ochronę dla skitu stanowiła twierdza w pobliskim Pniowie. Maniawski skit był odpowiednikiem Kijowsko – Peczerskiej Ławry

w miniaturze. Podobny plan i nawet te same freski na bramach i ten sam emblemat Opatrzności. W 1640 r. w monasterze przebywało około 200 zakonników. By zahamować wpływ skitu na wyobraźnię ludności, cesarz Józef II w roku 1786 podjął decyzję o likwidacji tej oazy prawosławia. Cenne sprzęty cerkiewne zostały przeniesione do

okolicznych parafii, ikonostas do cerkwi w Bohorodczanach. Jeden dzwon przekazano do Zarwanicy, drugi do Nadwórnej, gdzie podczas pożaru w 1914 r. uległ zniszczeniu. Po maniańskim skicie pozostały malownicze ruiny, w ostatnich latach częściowo odremontowane.

Kościół Parafialny p.w. św. Stanisława i św. Jana Chrzciciela oraz klasztor SS Niepokalanek (dawniej OO Paulinów) w Niżniowie (fragmenty)

Andrzej Betlej

Historia

Parafia w Niżniowie powstała w XV w. i od czasu utworzenia organizacji dekanalnej w archidiecezji lwowskiej wchodziła w skład dekanatu uścieckohalickiego, a od roku 1787 do w. XX - dekanatu stanisławowskiego. W roku 1764 abp Wacław Hieronim Sierakowski powierzył prowadzenie parafii paulinom z klasztoru w Niżniowie. Po kasacji klasztoru w roku 1786 pozostawiono na miejscu jednego zakonnika jako proboszcza. Zapewne w związku z kasacją klasztoru placówka duszpasterska została zredukowana do rangi kapelanii lokalnej, a status parafii odzyskała w roku 1887 lub 1888. Pod koniec w. XIX do parafii niżniowskiej należały: Antonówka, Bratyszów, Kutyska, Niżniów i Oleszów, a w okresie międzywojennym ponadto Bajki, Bukówna, Smerków i Zagórze Polskie. W jej obrębie znajdowały się kaplice na Bajkach (z 1928 r.), w Kutyskach (z 1928 r.) i w Zagórzcu Polskim (w domu SS. Józefitek). W styczniu roku 1740 Stanisław Jabłonowski, wojewoda rawski ufundował klasztor Paulinów w Niżniowie. Już w następnym miesiącu wysłano do Niżniowa kilku zakonników. W marcu 1742 r. władze zakonu wyznaczyły przeora klasztoru. W roku 1744 wprowadzono ścisłą regułę klasztorną. Fundację niżniowską zatwierdził w roku 1764 abp Sierakowski. 2 II 1786 rząd austriacki skasował konwent. W roku 1881 rada zgromadzenia SS. Niepokalanek przyjęła projekt założycielki zgromadzenia siostry Marceliny Darowskiej, zgodnie z którym klasztor popauliński w Niżniowie miał stać się „zakładem dla córek rodzin zubożałych w powstaniu 1863 roku, a więc zakładem bezpłatnym, przygotowującym takie nauczycielki, które przez to samo otrzymałyby „chleb w rękę”. Z powodu trudności finansowych zgromadzenia tworzenie nowej placówki określono jednak jako „dzieło, które miało pozór szaleństwa”. 24. V. 1881 r. siostry zakupiły gmach klasztorny od Teodora Lanckorońskiego i podjęły jego remont; już w roku 1883 otwarto szkołę, z kaplicą domową. Podczas I wojny światowej klasztor był kilkakrotnie

zajmowany przez różne wojska, doświadczył też napadów maruderów, ale kościół szczęśliwie ocalał.



Fot. 18 Widok na kościół i klasztor w Niżniowie. Stan sprzed 1918 r.

We wrześniu roku 1939 klasztor został zajęty przez wojska sowieckie, 14. X. siostry zmuszono do podpisania aktu zrzeczenia się klasztoru na rzecz władzy sowieckiej, pozwolono im jednak nadal mieszkać w zabudowaniach. 1. XI. zakonnice musiały opuścić klasztor. Naczynia liturgiczne zostały ukryte w piwnicach i u parafian, ale nigdy ich nie odzyskano. Klasztor został zrabowany, w kościele urządzono „żydowską restaurację” 15. VII. 1941 r. po wkroczeniu wojsk niemieckich, niepokalaneki powróciły do Niżniowa. W czasie walk sowiecko-niemieckich na wiosnę roku 1944 klasztor uległ pożarowi, a większość sióstr ewakuowano do Szymanowa. W sierpniu tego roku ostatnia niepokalaneką jaka pozostała w Niżniowie została zamordowana w drodze do Jazłowca. W marcu roku 1945 ten sam los spotkał SS. Józefinki, które schroniły się w klasztorze niżniowskim w roku 1944.

Kościół i zabudowania klasztorne

Dzieje pierwotnego kościoła parafialnego w Niżniowie nie są bliżej znane. W relacji abpa

Jana Dymitra Solikowskiego z roku 1600 zapisano: "apud nobilem Joannem Bludniczki ecclesia antiqua restaurata", bp Tomasz Pirawski przekazał w roku 1615 jedynie pogłoskę o fundacji kościoła przez Błudnickich¹. Kościół w Niżniowie nie przetrwał najazdów na przełomie 2 i 3 dekady wieku XVII i zapewne nie został już odbudowany. W czasie wizytacji abpa Jana Skarbka w roku 1721 na jego miejscu stał krzyż. Po fundacji klasztoru paulińskiego zakonnicy początkowo prawdopodobnie mieszkali w drewnianych zabudowaniach.

W roku 1742 przystąpiono do budowy kościoła i klasztoru "ex solis lateribus et lapidibus". W roku 1747 kościół niżniowski miał "facies sive ingressus ex solis lapidibus honeste adornata et a fundamento erecta sed nondum finita". Przygotowane jednak były materiały do ukończenia tej elewacji. Budowla była "sub tecto ligneo in qua copula pro parva campana nova et super eandem crux ferrea deaurata magna et globus aereus ibidem deauratus". Obok świątyni znajdowały się „fundamenta pro errigendo monasterio”. 11. IX. 1747 r. prowincjał przeprowadził wizytację placówki, a następnie udał się do Krzywina, by spotkać się z fundatorem. Ten zażądał usunięcia dotychczasowego prefekta fabryki o. Kremera, oskarżając go o marnotrawienie funduszy („pecuniam pro fabricam Niżnioviensis datam dissipet, multumque pro feminis expendret”) i nierzetelne prowadzenie registrów. Prowincjał natychmiast przeniósł zakonnika do Włodawy. Jabłonowski poprosił jednocześnie o natychmiastową zmianę mistrza murarzy, gdyż prowadził budowę zbyt długo „et cum aliquibus erroribus”. Fundator uznał też, że skoro kościół jest właściwie ukończony (poza fasadą), należałoby już zacząć przygotowywać stalle we wnętrzu i poprosił o przysłanie brata - stolarza, który miałby je wykonać. Prowincjał zakonu wizytujący placówkę niżniowską w roku 1751 stwierdził, iż klasztor jest dobrze stawiany, jednak kościół, przed kilku zaledwie laty zbudowany, zaczął się rysować. Postanowiono zatem rozebrać kościół i „według planów na nowo postawić”. Oceniono iż na ponowne wzniesienie budowli potrzeba było 40 000 zł. Kościół rozebrano w tym samym roku i rozpoczęto budowę nowego, na podstawie pierwotnego projektu („vetus planum novis erigit”). W roku 1758 prowincjał znalazł fabrykę „porządnie prowadzoną”. O losach budowy w następnych latach brak przekazów źródłowych. Dopiero 10 lat później stwierdzono, że „fabrica ecclesiae excepta fronte et turribus ascendit ad ultimam coronam dictum gzems”, a „magister murarius in arte sua perfectus” kończył murować sklepienia. Ówczesny przeor zwrócił się do władz zakonnych o pozwolenie na wykorzystanie dochodów konwentu na potrzeby budowy świątyni, a także do syna fundatora - Antoniego Jabłonowskiego

o dofinansowanie prac. Ten jednak odpowiedział, że z powodu „teraźniejszego zamieszania” i buntu chłopów na Ukrainie (chodziło o wydarzenia konfederacji barskiej i tzw. koliwyszczynę) nie może wspomóc „fabryki”. Zalecił, aby zakonnicy własnym staraniem postawili przynajmniej dach na kościele i pozwolił na zaciągnięcie na ten cel pożyczki, którą obiecał spłacić później.

W roku 1780 w kościele odprawiano nabożeństwa, ale jego wyposażenie nie było jeszcze gotowe. W roku 1786, w związku z kasatą klasztoru, przeprowadzono inwentaryzację jego majątku. W świątyni znajdowało się wówczas 8 ołtarzy dekorowanych rzeźbami - główny z obrazami św. Stanisław Szczepanowski i św. Paweł Pustelnik, oraz boczne z obrazami św. Tekla, św. Antoni Padewski, św. Michał Archanioł, św. Józef, św. Jan Chrzyciel, Ukrzyżowanie, Matka Boska, a także organy. W zakrystii przechowywano m.in. monstrancję, 5 kielichów, 2 puszki, pacyfikał i 46 ornatów. W klasztorze znajdowały się obrazy św. Rozalii, św. Tekli, św. Jana Nepomucena, św. Ludwika, a w refektarzu rzeźbiony krucyfiks. Kolejny inwentarz został spisany na pocz. roku 1792. Wynika z niego, że kasata znacznie zubożyła kościół. Nadal znajdowało się w nim jednak nieco sreber (monstrancja, 3 kielichy, 2 puszki, 4 pateny, pacyfikał, naczynia na oleje św., kadzielnica z łódką i lampa przed ołtarzem gł.), a ponadto m.in. obrazy św. Antoniego, św. Jana Chrzyciela, św. Józefa i św. Michała Archanioła, 2 dzwony, 25 ornatów, 3 kapy i 4 dalmatyki. Drobne uzupełnienia sprzętów liturgicznych nastąpiły w latach 1798, 1812 i 1824. W roku 1810 kościół niżniowski spłonął, a stanisławowski urząd cyrkularny zaproponował przeniesienie liturgii łacińskiej do miejscowej cerkwi greckokatolickiej. Z protokołu wizytacji z roku 1825 wynika, że w roku 1816 budowlę remontowano, prac jednak nie ukończono. Dach tylko częściowo pokryto dachówką, a uszkodzone fundamenty groziły zawaleniem. Wobec niemożności użytkowania kościoła, urządzono niewielką kaplicę w klasztorze, wykorzystując część korytarza przylegającego do prezbiterium. W ołtarzu głównym, częściowo zestawionym z elementów retabulum w kościele, znajdował się obraz *Matki Boskiej Częstochowskiej* (dawny obraz św. Stanisława był zniszczony). W kaplicy znajdował się też drewniany ołtarz boczny ze starym obrazem św. Tekli, chrzcielnicą z pokrywą ozdobioną rzeźbą św. Jana Chrzyciela oraz kilka zniszczonych ławek. Brakowało natomiast ambony i organów, jednakże odpowiednie sprzęty z kościoła, choć uszkodzone, określono jako możliwe do adaptacji i użytkowania. Zgodnie za zapisem inwentarzowym z roku 1826 w kaplicy nie było sreber, a wszystkie naczynia i przedmioty liturgiczne były mosiężne. Z szat liturgicznych odnotowano 15 ornatów, 4 kapy i 4 dalmatyki. W roku 1842 kościół został odnowiony

i konsekrowany 29. V. tegoż roku. Jego dalsze dzieje są nieznane, z braku źródeł.

Adaptację klasztoru popaulińskiego na zakład Niepokalanek przeprowadzono w latach 1881-1883, kosztem 77 935 fl. Remont i przebudowę prowadził inż. J. Kotkowski, przy udziale Jarosława Odyńca (bratanka poety), zatrudnionego już w roku 1881 oraz mistrza murarskiego Szkolnickiego. Ołtarz w kaplicy wykonał, jak się wydaje, Bębnowicz ze Stanisławowa, uczeń rzeźbiarza Tadeusza Barączka wg projektu tego ostatniego i pod jego kierunkiem, a prace stolarskie w kaplicy i zakrystii - Krzyształowicz z Buczacza

Po wyjeździe niepokalanek w r. 1946 w kościele znajdowały się stajnie kochozowe, następnie budowle rozebrano. W r. 1958 istniały jeszcze ruiny klasztoru, w r. 1959 już tylko jedna z wież kościoła.



Fot. 36 Spalony kościół parafialny w Niżniowie. Stan po 1945 roku.

Kościół

Kościół i klasztor były usytuowane na zach. krańcu miejscowości. Kościół zwrócony prezbiterium na pd. zach., murowany z cegły z użyciem kamienia, tynkowany. Korpus kościoła trzyprzęsłowy, bazylikowy, z dwiema ryzalitowo wysuniętymi wieżami od frontu. Prezbiterium tej samej szerokości co nawa główna, jednoprzęsłowe, zamknięte ścianą prostą, flankowane przez prostokątne, przybudówki zakrystii i skarbcza, z lożami kolatorskimi na piętrze. Okna w nawie głównej i prezbiterium prostokątne, zamknięte łukiem koszowym, w nawach bocznych niewielkie prostokątne okienka zamknięte łukiem odcinkowym, Fasada nieco szersza od korpusu, dwuwieżowa. (...) Do pilastrów przy wieżach dostawiono od frontu ukośne przypory. (...)

W ołtarzach obrazy: *Św. Maria Magdalena* i *Św. Stanisław*

Klasztor

Budynek klasztorny przylegał do kościoła od pd. zach., na jego osi, murowany z cegły, tynkowany. Złożony z czterech dwukondygnacyjnych skrzydeł otaczających czworoboczny wirydarz. (...) Okna w większości prostokątne. Na parterze, w ryzalicie, na osi skrzydła pd. zach. kaplica, na osi skrzydła półn-zach. główna sień z rozmównicą, w skrzydle półn-wsch. refektarz z kuchnią i jej zapleczem, a w skrzydle półn-wsch. szkółka wiejska; ponadto kilka cel zakonnych oraz pomieszczenia gospodarcze. Na piętrze, w ryzalicie, nad kaplicą sala rekreacyjna, w narożniku pn. kapitularz, ponadto klasy szkolne, jadalnia dla dzieci, sypialnie i cele zakonne. Sanitariaty na obydwu kondygnacjach, w niewielkich ryzalitach w pobliżu narożników pd. i zach. Kaplica złożona z nawy wypełniającej ryzalit oraz krótkiego prezbiterium, wraz z flankującymi je oratorium i zakrystią wyciętego z części korytarza klasztorowego. Łuk tęczy odcinkowy. Nawa nakryta sklepieniem kolebkowym z lunetami, o przekroju koszowym, z oknem w kształcie leżącego prostokąta zamkniętego łukiem koszowym, z drewnianą imitacją maswerku, proj. J. Kotkowski, 1883, wyk. Krzyształowicz, wypełnionego barwnym oszkleniem.



Fot. 37 Fasada kościoła parafialnego w Niżniowie

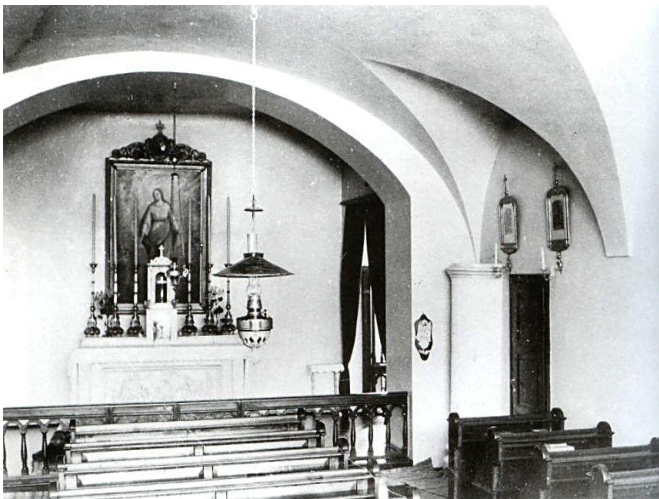
W wąskich partiach skrzydła pn.-wsch., widocznych po bokach kościoła trójosiowe rozmieszczone nieregularnie otwory wejściowe i okna. Okna rozmieszczone nieregularnie, w pasowych obramieniach z uszakami; w ryzalicie mieszczącym kaplicę, od strony pd. zach., szerokie okna zamknięte łukiem koszowym.

Dachy dwuspadowe, nad ryzalitami wielospadowe, wszystkie kryte blachą, nad kaplicą niewielka, czworoboczna wieżyczka na sygnaturkę, zwieńczona ostrosłupowym daszkiem. W wirydarzu wolno stojąca rzeźba *Matka Boska Niepokalana*.



Fot. 38 Kościół i klasztor SS Niepokalanek w Niżniowie.

Wyposażenie kaplicy



Fot. 39 Klasztor SS. Niepokalanek. Wnętrze kaplicy w kierunku ołtarza.

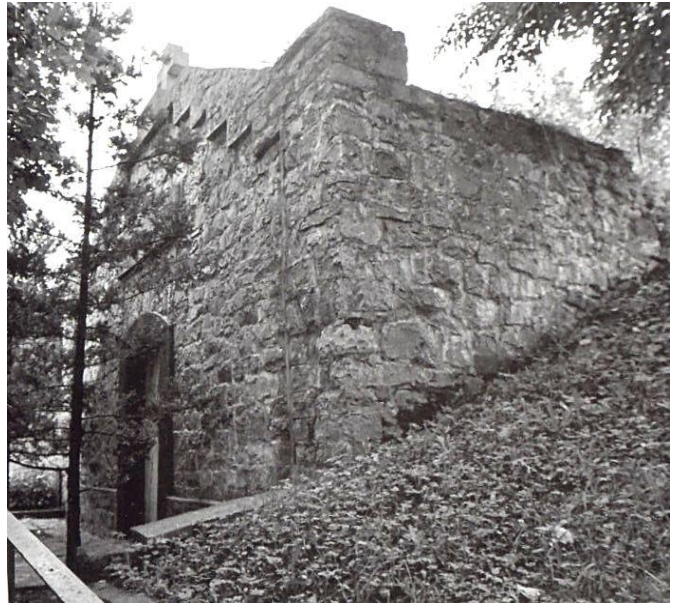
Ołtarz - mensa marmurowa, w antependium płaskorzeźba *Chrystus z dziećmi* (?), w profilowanym obramieniu, wyk. Bębnowicz, wg projektu T. Barącz, 1883. Na mensie tabernakulum drewniane, wyk. Krzyształowicz (?), nad mensą. Na ścianie obraz *Matka Boska Niepokalana*, 2. poł. w. XIX, w profilowanej ramie zwieńczonej kartuszem z krzyżem, ujętym w sploty ornamentu roślinnego.

Balustrada komunijna złożona z toczonych kolumniek, wspierających półkoliste arkadki; balustrada o podobnej formie otaczała podwyższenie mieszczące fisharmonię.

Kraty zamykające przejścia pomiędzy kaplicą a oratorium i zakrystią, ok. 1883, metalowe, z partii dolnej powtarzające formę balustrady komunijnej, w górnej złożone z wysmukłych kolumniek, wspierających półkoliste arkadki o przeplatających

się archiwoltach. Ławki drewniane, wykonał Krzyształowicz (?). Stacje Drogi Krzyżowej, litografie (?) w drewnianych ramkach.

Grobowiec ss. Niepokalanek



Fot. 40 Grobowiec SS. Niepokalanek. Fasada. Zdjęcie krypt wewnątrz grobowca znajduje się w ZT. nr.1(37) 2006 r.

Usytuowany przy drodze ze Stanisławowa, na zach. od zespołu klasztornego, na pd. stoku wzgórza, częściowo zagłębiony w zbocze. Murowany z kamienia, na rzucie wydłużonego prostokąta. Jednoprzestrzenny, sklepiony kolebką na gurtach. W ścianach bocznych, w trzech rzędach wewnątrz grobowe (katakumby), prostokątne, zamknięte łukiem odcinkowym, opatrzone tabliczkami z imionami zmarłych. Na wprost wejścia, na trójstopniowym podejściu ołtarz z prostokątną mensą, wspartą na dwóch kolumnach, z niewielkim postumentem, na którym rzeźba *Matka Boska Niepokalana*, powyżej na ścianie zawieszony krucyfiks.

Fasada z kamienia polnego, jednoosiowa, po bokach ujęta w filary, zwieńczona trójkątnym, ścietym od góry szczytem. Pole wypełnia płycina, od góry, wzdłuż spadów szczytu, zakończona uskokowo. Na osi otwór wejściowy, zamknięty łukiem odcinkowym, ponad nim prostokątna tablica łukiem odcinkowym, ponad nim prostokątna tablica.

Stan zachowania

Kościół i klasztor nie istnieją. Jedynym śladem całego założenia są dwa fragmenty przypór fasady kościoła oraz grobowiec. Na miejscu kościoła i klasztoru znajduje się stacja maszynowa miejscowego kołchozu.

Uwaga

Artykuł oraz zdjęcia pochodzą z książki 'Materiały do dziejów sztuki sakralnej na ziemiach wschodnich dawnej Rzeczypospolitej cz. I – Kościoły i klasztory

rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego". t. 14, pod redakcją naukową Jana Ostrowskiego, wydanej przez Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2006.

Z życia Tłumaczan

Historia Rodziny Józefa Dombka c.d. Z moich wojennych przeżyć

Olga Ładzieńska (z domu Dombek)

Kułackie pochodzenie.

Kiedy w czasie okupacji rosyjskiej w 1939 r. zorganizowano w Tłumaczu naukę w tzw. „niepełnej szkole średniej” - 7 klasowej, z ukraińskim językiem wykładowym, zgłosiłam się do pracy i uczyłam języka polskiego. Był taki przedmiot! Wizytatorem szkoły był oficer, Rosjanin – Kołesow, dobry pedagog, który prowadził też kurs języka rosyjskiego dla nauczycieli Polaków. W czasie zajęć na kursie kilkakrotnie był zdziwiony moją „łatwością” przyswajania gramatyki rosyjskiej. Przypuszczał, że musiałam już poprzednio uczyć się tego języka. Ponieważ nie przyznawaliśmy się do studiów, nie mogłam mu wytłumaczyć, że mnie znającej z uniwersytetu gramatykę polską i starocerkiewną łatwiej pojmować zasady gramatyki rosyjskiej niż np. koledze fizykowi lub matematykowi.

Po jakimś czasie dostałam wezwanie do wydziału oświaty. Tam inspektor oznajmił mi, że „z dniem dzisiejszym jestem zwolniona z posady nauczycielskiej, gdyż władza sowiecka nie może powierzać mi wychowania młodzieży, gdyż pochodzę z kułackiej (czyli bogatej) rodziny”. Zdążyli już rozejrzeć się w okolicy i zebrać informacje o nauczycielach. Odeszłam i zarabiałam na życie pracą fizyczną. Sprzątałam, prałam, gotowałam po polskich domach, w których nie było już młodych mogących wykonywać takie prace. Trzeba było pracować, bo miałam już na utrzymaniu rodziców, którym majątek odebrano, a brat był w więzieniu. Z wynagrodzeniem bywało różnie, bo w różnych warunkach znajdowały się wtedy polskie rodziny.

Kiedyś przypadkowo spotkałam w mieście wizytatora. Kołesowa. Na pytanie z czego żyję, odpowiedziała: „pracuję fizycznie”. Wtedy on mocno podniesionym głosem powiedział: „Olgo Josefowno, nie wolno wam tak postępować. Wy jesteście nauczycielką z powołania i wasze miejsce w szkole”. Przyrzekł, że wszystko załatwi, tylko ja muszę: „ogłosić w lokalnej gazetce,

że zrywam z rodzicami, wyrzekam się ich i nie będę z nimi jako kułakami utrzymywać żadnego kontaktu. To jest tylko formalność - tłumaczył dalej, nikt nie będzie tego śledzić i wglądać w rodzinne stosunki, to potrzebne tylko na papierze. W Rosji po rewolucji dużo takich oświadczeń drukowano”. Nie wiem, jaką miałam minę, wiem tylko, że powiedziałam, iż na to się nie zgodzę i odeszłam. Tygodnie płynęły i któregoś dnia dostaję wezwanie do inspektoratu na wyznaczoną godzinę. Wchodzę do kancelarii inspektora, ale on każe mi wejść do sąsiedniej sali. Otworzyłam drzwi i cofnęłam się, bo przy długim stole siedziało około 10 - 12 sowietów. Myślałam, że pomyliłam drzwi. Kazano mi jednak wejść i wskazano w kącie sali krzesło w dużej odległości od stołu. Nie miałam czasu na pozbieranie myśli, kiedy jeden z siedzących zaczął najpierw naświetlać moje przyjęcie do szkoły jako nauczycielki, a potem podał przyczyny zwolnienia. Zorientowałam się wtedy, że to „prokurator” składa oskarżenie, a „sędziowie” słuchają. Po nim zabrał głos wizytator Kołesow, którego nawet nie zdążyłam poprzednio zauważyć. Występował jako mój obrońca. Stwierdził, że to wszystko, co powiedział oskarżyciel jest zgodne z prawdą, ale on zebrał obecnie nowy materiał o mnie.

Otóż pochodzę rzeczywiście z kułackiej rodziny, ale po maturze, kiedy mogłam korzystając z majątku rodziców czekać na bogatego męża, poszłam na studia. Bezpośrednio po studiach znowu nie wróciłam do domu, aby pasożytować na kurkulskim majątku, ale zaraz po wakacjach zaczęłam pracę w szkole i w tej pracy byłam przez cały czas aż do zwolnienia przez nich. To świadczy, że nie ma we mnie kułackich przekonań i że powinnam do szkoły wrócić. Wtedy sędziowie zaczęli między sobą przyciszoną naradę, w rezultacie której jeden z arbitrow powiedział, że w oparciu o to, co usłyszeli, pozwalają mi wrócić do szkoły, ale nie w Tłumaczu tylko na wsi. Czy się zgadzam? Zgodziłam się oczywiście, bo i tam czekały polskie dzieci na naukę. Skierowano mnie do małej wioski pod Tłumaczem, która nazywała się Boskie. Tam była jednoklasówka jeszcze nie obsadzona. Stałam przed bardzo trudnym zadaniem. Miałam uczyć w szkole podstawowej, do czego nie miałam żadnego metodycznego

przygotowania. Miałam uczyć wszystkich przedmiotów, więc też nowe trudności dydaktyczne, prócz tego nauka w jednoklasówce odbywa się na 2 zmiany, klasy były łączone, tzn. z jedną pracuje się głośno, drugiej daje się ciche zajęcia. Znowu nowość dla mnie. Ale najlepsze było to, że szkoła, tak jak wszystkie inne była z ukraińskim językiem wykładowym, a ja znałam tylko „ruską” gwarę, a czytać i pisać w tym języku nie umiałam. Poszłam do znajomej nauczycielki i ona napisała mi alfabet polski a obok ukraiński. Tak „przygotowana” dydaktycznie i metodycznie rozpoczęłam naukę w Boskiem. Jak uczyłam i czego nauczyłam te biedne dzieci, o tym wolę nie myśleć - nawet teraz po latach!

Wizytacja

Szkoła w Boskiem to była jedna izba w chatce krytej słomą. Izbę po drugiej stronie sieni zajmował gospodarz z rodziną i częścią inwentarza. Ten inwentarz to było małe cielątko, któremu w stajni było za zimno. Chatka znajdowała się na skrzyżowaniu dróg. W pewien zimowy poranek gdy prowadziłam lekcję usłyszałam dzwonek przy saniach. Odruchowo spojrzałam w okno i zobaczyłam, że na saniach jedzie „sowiec”. Zatrzymał konia, przypiął lejce do płotu i skierował się do szkoły. Byłam przeświadczona, że chodzi o informację w sprawie skrzyżowanych dróg. Kiedy „sowiec” wszedł do klasy, popatrzyłam na niego wyczekująco, nie wiedząc o co zapyta. Ale on podszedł do ławki, przesunął ucznia i usiadł. Trzymając w prawym ręku batóg, powiedział do mnie: „prodoużuwajte urok”, tzn. „prowadźcie dalej lekcję”. Wtedy zrozumiałam, że to wizytacja! Prowadziłam lekcję dalej pod batogiem wizytatora. Jakie były skutki tej wizytacji, nie wiem, bo nikt ze mną o tej lekcji potem, na szczęście, nie rozmawiał. Ale nie wyrzucono mnie wtedy ze szkoły!

Mały Michaś.

W jakiś wiosenny poranek gdy przyszedłam do szkoły w Boskiem zobaczyłam na progu „politruka”. Każda wieś miała przydzielonego opiekuna wojskowego, który gromadził wieczorami drzemiących ze zmęczenia gospodarzy na wykłady „uświadamiające politycznie”. Prócz tego spisywał codziennie, ile mleka dostarczyła wieś do zlewni, ile jaj zniosły kury, ile zaorano ziemi czy wyżęto zboża itp. Nauczyciel był niejednokrotnie też używany przy tym do pomocy. Spisywałam również wiele razy.

Politruk powiedział, że dziś lekcji nie będzie, gdyż mam się zgłosić do Wydziału Oświaty w Tłumaczu. Czułam, że już kroi się coś nowego. I tak było! Kiedy weszłam do kancelarii, inspektor otworzył szufladkę w biurku i wyjął stamtąd

elementarz, podpisany nazwiskiem mego ucznia. Zapytał, czy go znam. A był to taki mały, czarniutki Michaś Lewandowski, siedzący w I ławce i świdrujący mnie mądrymi oczami. Na moje przytaknięcie inspektor zapytał: „A o czym to wy mówicie na lekcjach, że dziecko wydłubuje Stalinowi oczy?” - i obrócił kartkę, na której widniał Stalin ale z przedziurawionymi oczami. Cóż miałam mówić? Rozumiałam, że tu szkoda każdego słowa. Milczałam, a on kontynuował: „za taką sprawę idzie się u nas w „tiurmu” (do więzienia). Nie zamknę was tylko dlatego, że mam już sprawdzone informacje, iż uczeń dokonał tego nie na lekcji, lecz w domu, kiedy bawił się na „przypiecku” przy matce gotującej kolację. Ale do szkoły już wam wstęp wzbroniony”. I tak skończyło się moje nauczanie pod sowiecką okupacją.

Gestapowskie metody.

Po zajęciu Tłumacza w 1941 r. przez Niemców i uruchomieniu tam szkoły podstawowej uczyłam tam języka polskiego. Z powodu braku dentysty na miejscu musiałam dojeżdżać do Stanisławowa i tam byłam raz świadkiem wyprowadzenia przez gestapo lekarza - dentysty. Lekarz przyjmował pacjenta, a kilka osób siedziało w poczekalni. Otworzyły się drzwi, dwaj gestapowcy weszli do pokoju przyjąć i kazali lekarzowi iść ze sobą. Nie pozwolono mu nawet uchylić drzwi do sąsiedniego pokoju, gdzie była rodzina. My w poczekalni staliśmy nieruchomo, gdy lekarz przechodząc obok, powiedział do nas: „przepraszam, nie będę już mógł dziś nikogo przyjąć”. Długo tak staliśmy jeszcze i nikt nie miał odwagi, ani siły zapukać do mieszkania lekarza. W tym dniu „skończono” tak 23 lekarzy. Rozstrzelano ich w pobliskim lesie pod Pasieczną.

W jakiś czas później, gdy byłam znowu w Stanisławowie i wstąpiłam do p. Ansion, u której mieszkałam przed wojną, ucząc u SS. Urszulanek. Dowiedziałam się od niej, że przed kilkoma dniami przychodzili po mnie gestapowcy. Okazało się, że po „wykończeniu” lekarzy zabrali się do nauczycieli szkół średnich. Gestapo przyjeżdżało do szkoły i kazało sobie dać spis i adresy nauczycieli, gdyż chcą rozpocząć naukę. Dyrekcje dawały. Dały też SS. Urszulanki nasze adresy w 1939 r., gdyż w czasie okupacji sowieckiej szkoła nie była czynna. Kogo z nauczycieli zastali w domu, zabierali. W tym dniu rozstrzelano w Stanisławowie 57 nauczycieli i zakopano we wspólnym grobie pod Pasieczną. Zginęły wtedy 4 koleżanki i 2 kolegów z mojego grona. Mnie to ominęło!(1)

W wyzwolonej ale stalinowskiej Polsce.

Była godzina 7:55. Dyrektor Technikum Ekonomicznego wszedł do pokoju

nauczycielskiego, aby jak codziennie powiedzieć nam „dzień dobry” i rzucić okiem gospodarza, czy wszystko „gra”. Podszedł do mnie, i poprosił, abym na dużej przerwie przyszła do kancelarii. Nie zdziwiło mnie to wcale, bo różne sprawy omawia dyrektor z nauczycielami. Już przy wejściu uderzyło mnie jego skrępowanie. Zatarł nerwowo ręce i z góry przeprosił za to, co będzie mówił. „Koleżanko, wiem, pani jest wierząca i praktykująca, ale chodzi o to, by pani robiła to mniej ostentacyjnie. Można przecież pójść do kościoła raniutko na najwcześniejszą Mszę, bez rodziny, to nie zwróci niczyjej uwagi. A pani układa swoją czwórkę dzieci w dwie pary przed sobą, bierze męża pod rękę i maszerujecie głównymi ulicami na dziesiątówkę”. Podrzuciło mnie na krzesło, wstałam i mówię: „Panie Dyrektorze, ja nie zmienię ani swoich przekonań, ani formy praktyki. Jeżeli to przeszkadza i ja nie mogę z tego powodu uczyć, proszę mi tylko powiedzieć, czy dziś jeszcze mam dokończyć lekcje, czy już nie. W czasie wojny umiałam fizycznie zapracować na utrzymanie rodziny, to potrafię i teraz, ręce mam zdrowe”. Wtedy dyrektor zerwał się na równe nogi, powiedział „przepraszam, spełniłem tylko odgórne polecenie, proszę uważać naszą rozmowę za niebyłą i wracać do klasy”. Nigdy już tego tematu nie ruszał.

Po latach

W 2004 roku Pani Barbara Borkowska (córka Państwa Ładzieńskich) po raz pierwszy znalazła się na Ukrainie, postanowiła odwiedzić strony, z których pochodzili jej Dziadkowie i Rodzice. Oto co napisała w komentarzu do historii swojej Rodziny: „Wiedziałam, że z gospodarstwa moich Dziadków nic nie zostało, ale chciałam chociaż zobaczyć miejsce, w którym żyli. Była wówczas zima, leżało dużo śniegu i nie dało się samochodem dojechać do Jackówki. Przypadkowo na ulicy w Oleszy spotkałam pana Mychajła Dzeman, który widząc samochód z obcą rejestracją podszedł do mnie i mojego męża i zapytał skąd przyjechaliśmy. Okazało się, że obecnie mieszka w Tłumaczu, ale pochodzi z Oleszy i pamięta mojego Dziadka. Zainteresował się historią mojej Rodziny, bo jako historyk zbiera informacje o ludziach, którzy żyli w tamtych stronach. Umówiliśmy się, że przyjedziemy jeszcze raz latem, aby można było dojechać do miejsca, gdzie stał dom moich Dziadków. Pomiędzy obydwojma moimi pobytami na Ukrainie pan Dzeman zebrał różne informacje od ludzi, którzy jeszcze Dziadków pamiętali. Dowiedział się też, że jedna z mieszkanki Jackówki uratowała z pogorzelska kapliczki krzyż z figurą Chrystusa i dotąd przechowuje go. Pan Dzeman zachęcił nas do rozważenia możliwości odbudowy spalonej kapliczki postawionej przez

moich Dziadków i obiecał swoją pomoc w tym zakresie. Tak zaczęła się nasza znajomość.

Pan Mychajło Dzeman (historyk i weteran pracy pedagogicznej), wraz z panem Mychajło Batikiem (korespondentem) zebrali kilka ciepłych wspomnień wśród żyjących jeszcze ludzi i pamiętających Rodzinę Józefa Dombka. Niektóre z nich przedstawiamy poniżej.

Maria Hulak /Łuciw/, wieś Tarasiwka, ur. 1928 roku. - Dombkowie byli naszymi sąsiadami. Będąc dzieckiem często bawiłam się z córką Janeczką, która była starsza ode mnie. Jej rodzina najmowała robotników: Anę, Dmytra, Danyła, Paraskę, Wasyla i Fedora, który do tej pory żyje i mieszka w Oknianach. W stosunku do nich odnosił się bardzo dobrze. Mojemu ojcu, którego wtedy również zatrudniał, Dombek płacił 2 złote za dniówkę. Całe swoje bogactwo Dombek zawdzięczał tylko ciężkiej pracy swojej i rodziny. Dorobił się ponad 100 morgów ziemi i 5 arów sadu.

Mykoła Słobodjan, ur.1927, chutor Niwra - Dom mieszkalny p. Józefa Dombka miał cztery izby. W gospodarstwie miał młocarnię, kierat, 30 sztuk bydła i 6 koni: 2 pary do pracy na roli, a pozostała para służyła do przejażdżek bryczką. Syn Marian – po wiejsku Mućko, zajmował się mleczarstwem i dostarczaniem mleka do Oleszy i Tłumacza w ilości 10 konew po 25 l każda. Swojej najemniczce z Oleszy na długoletnią pracę dał 4 morgi pola, pobudował dom, stajnię i stodołę. Danielowi Mykytynu z Oleszy, który służył u niego, dał 2 morgi pola. Będąc dzieckiem często biegałem do Dombków bawić się i oni częstowali mnie miodem. Józef Dombek, będąc wielkim gospodarzem, pomagał najemnym robotnikom w hodowli bydła. Wiem, że jego syn Marian ożenił się z nauczycielką z Oleszy Jadwigą Kluczewską, a po jej śmierci znalazł żonę na Pilawszczyźnie u Gniadych.

Wasył Pacahan /Kowal/ z Oleszy. - We trzech, jako mali chłopcy, wybrali się na czereśnie do Józefa Dombka. Wyleźli na drzewo i zaczęli rwać. Jedna garść do buzi, druga do rękawa /podwiązanego/. Na tym zastał ich p. Dombek. Kazał zejść na ziemię. Zaprowadził na podwórze rozdał pracę: dwóch zamiatało podwórze, a trzeci rąbał drwa. Po wykonaniu tej pracy kazał im iść do domów, a po obiedzie przyjść i narwać swoim mamom na pierogi słodkich czereśni, a nie niedojrzałych, jakie wcześniej kradli.

Paraska Hryćko ur. 1935 r.(przesiedlona z Polski) - W jednej części domu mieszkaliśmy z rodzicami, a w drugiej Fedor Pyłypiw. Kiedyśmy

przyszli do domu Dombka, a był to 1947 r., panowała posucha i głód, wspomina P. Hryćko. Zastaliśmy dwa kopce ziemniaków. Ludzie przebierali zgniłe ziemniaki, gotowali je i jedli ratując życie. Mieszkaliśmy na gospodarstwie Józefa Dombka do maja 1954 r., tj. do chwili likwidacji chutorów przez państwo. Kołchoz skorzystał z okazji i rozwalił gospodarstwo Dombków, majątek zabierając sobie.

W kaplicy zbudowanej przez Dombków w latach 1935-38 ludzie okoliczni na Wielkanoc przychodzili święcić Paschę, a święcił ją tłumacki kapłan Iwan Pławiuk, grekokatolik.

1) *Likwidacja inteligencji polskiej, to dzieło osławionego kata gestapo H. Krugera, działającego w Stanisławowie a później we Lwowie (m.in. mord na profesorach Uniwersytetu Jana Kazimierza). W Czarnym Lesie koło Stanisławowa zamordowano ponad 300 osób. Była to inteligencja polska różnych zawodów, w tym ok. 150 nauczycieli. Wśród nich byli też uczniowie i absolwenci szkół średnich. Pochodzili oni nie tylko ze Stanisławowa, ale też z okolicznych miejscowości. Listy posprekcyjne przygotowali współpracujący z gestapo nacjonałiści ukraińscy (Na podst. opracowania „Tajemnica Czarnego Lasu”; Tadeusz Kamiński, dokumentacja. Wyd. TMLIKPW, Oddział Kraków, Biblioteka Cracovia Leopoldis 2001 r.)*

Moja historia

Elza Boniowska Andrzejczek Stylianides

Rozdział I

Zadzwoił telefon. Pobiegłam na dół, wiedząc, że jest to mój mąż. W słuchawce usłyszałam głos męża: „Elza, przyjadę na stację około trzeciej dzisiejszego popołudnia!”. „Dobrze, będę tam!” – odpowiedziałam. „Doskonale”, muszę się spieszyć” odrzekł i odłożył słuchawkę. W jego głosie słycać było zdenerwowanie, lecz ja byłam zbyt podniecona spotkaniem z mężem, żeby zwrócić na to uwagę. Pobiegłam na spotkanie. Pociąg zatrzymał się na stacji i w oknie wagonu ukazał się mój przystojny i elegancki mąż, ubrany w mundur oficera policji. Był zmartwiony i zdenerwowany. „Elza, nie mogę zostać z Tobą ani chwili, muszę natychmiast wracać! Wojna zostanie ogłoszona za kilka dni, więc wszyscy jesteście skoszarowani w naszych barakach.” – rzekł. Krążące od wielu miesięcy pogłoski mówiły o nadciągającej wojnie, lecz wiadomość, że stanie się to za kilka dni wywołała u mnie szok i niepokój. Usiedliśmy na jednej ze stacyjnych ławek i rozmawialiśmy o wszystkim, tylko nie o nadciągającej wojnie. Rozmowa trwała nie dłużej niż pół godziny, głównie o naszej córeczce, po czym mąż uścisnął mnie i powiedział: „Wracaj do domu, opiekuj się Bogusią i swoimi siostrami, spal wszystkie moje dokumenty i nie opuszczaj domu”. Gdy wracałam, moje myśli wirowały i rozsadały głowę. Wojna, wojna, wojna – huczało w moich uszach! Byłabym może w znacznie gorszym nastroju, gdybym wtedy wiedziała, że widziałam męża po raz ostatni! Mieszkałam razem z trzymiesięczną córeczką Bogusią i dwoma młodszymi siostrami – Basią i Wilusią w domu dziadków Boniowskich, który po nich odziedziczyłam dwa lata wcześniej. Gdy wróciłam do domu, moja młodsza siostra czekała na mnie przy drzwiach. „Elza, co się stało? Jesteś błada jak ściana? Gdzie jest Kazimierz?” – zapytała mnie.

Powiedziałam jej, że nadciąga wojna, że mąż prosił abym opiekowała się wami oraz spaliła wszystkie jego dokumenty. Wzięłam siostrę za rękę, poszłyśmy obie na piętro i odnalazły walizkę Kazimierza z dokumentami. Po pół godzinie, na dywanie znalazła się sterta listów i dokumentów. Zniosłyśmy je na dół i spaliłyśmy w ognisku rozpalonym w ogrodzie. Wojna wybuchła 1 września 1939 r. Po kilku dniach nadano informację radiową Rządu Polskiego, że wojska rosyjskie powinny wkroczyć do nas jako sprzymierzeniec i cały personel wojskowy ma pozostać na swoich stanowiskach. Niestety bardzo szybko, 17 września okazało się, że będą to nasi śmiertelni wrogowie.

Kilka tygodni po inwazji polską walutę zastąpiono rosyjskimi pieniędzmi, w związku z czym, w ciągu 24 godzin, tysiące ludzi, w tym ja pozostało bez środków do życia. Sprawdziłam gruntownie wszystkie posiadane rzeczy szukając czegoś, co mogłabym sprzedać. Znalazłam serwis obiadowy. Był to nasz prezent ślubny, który musiałam spieniężyć pomimo tego, że darzyłam tą pamiątkę ogromnym sentymentem. Dowiedziałam się również, że mój mąż został uwięziony więc postanowiłam go odwiedzić i zawieźć zmianę bielizny. Niestety strażnik więzienny nie pozwolił mi się z nim zobaczyć i odprawił mnie z przed bramy więziennej, cynicznie się uśmiechając. Spojrzałam na budynek więzienia i uświadomiłam sobie wtedy jak był ponury, straszny i wstrętny. Niedługo po powrocie do domu odwiedziła mnie sąsiadka, zawsze życzliwa mi, starsza kobieta. Zaparzyłam herbatę i opowiedziałam jej o swojej wizycie u męża.

Rozdział II

Doświadczona poprzednimi wojnami kobieta poradziła mi abym jak najszybciej zaopatrzyła się w najbliższym młynie w pszenicę w takiej ilości, na którą mogę sobie pozwolić. Posłuchałam jej porady i wyjąwszy ze schowka pieniądze uzyskane ze sprzedaży ślubnego prezentu

pobiegłam czym prędzej do młyna. Tam też po raz pierwszy w życiu zobaczyłam co znaczy wojna! Gdy pracownicy młyna udali się po pszenicę zawyły syreny alarmu przeciwlotniczego. Wybiegłam z młyna myśląc tylko o tym, aby jak najszybciej znaleźć się w domu przy dziecku i siostrach. Biegając przez miasteczko nie zdawałam sobie sprawy na jakie niebezpieczeństwo narażam swoje życie. Wokół wybuchały bomby, pełno było błysków ognia, odłamków i kurzu. W trakcie tego biegu ktoś nagle chwycił mnie za ramiona i wciągnął w ciemność bramy. Był to polski żandarm. Z twarzą prawie przylegającą do mojej, starając się przekrzyknąć odgłosy wybuchających bomb, krzyczał do mnie:

„gdzie pani biegnie, czy pani jest szalona?” Zdyszana, szlochając błagałam go szeptem aby mnie puścił, że muszę przecież iść do dziecka i sióstr, którzy na mnie czekają!

Ale trzymał mnie jeszcze mocniej, zaciskając uścisk na moich ramionach. „Nigdzie nie pójdziesz dopóki nie skończy się nalot” odrzekł, i puścił mnie dopiero wtedy gdy upewnił się, że spadła ostatnia bomba. Gdy w końcu dotarłam do domu, który ocalał, zastałam w nim przerażone siostry i płaczącą głośno córeczkę. Pomyślałam wtedy, że policjant uratował mi prawdopodobnie życie i jemu zawdzięczam to, że mogłam zobaczyć swoją rodzinę!



Fot. 41 Tłumacz 1933/34, rodzina Boniowskich i Piotrowiczów.

Siedzą:

Jan i Elżbieta z Boniowskich
Piotrowiczowie, Maria z Szukców Boniowska, Stefania z Boniowskich Zwolińska z córką Dorotą, Michał Piotrowicz.

Stoją od lewej: Piotrowicz Romuald i Wacław, Barbara Boniowska, Edward Piotrowicz, Elżbieta Boniowska, Józef Piotrowicz, Wilhelmina Boniowska.

Siedzą na ziemi:

Grzegorz Piotrowicz i Andrzej Zwoliński.

Rozdział III

W lutym 1940 roku rozpoczęły się pierwsze wywózki Polaków w głąb Rosji. Pierwszymi zesłańcami byli ludzie, których Rząd Polski wyznaczył na dzierżawców nieruchomości, za które byli właściciele nie byli w stanie płacić podatków. Nikt nie mógł zrozumieć dlaczego właśnie oni byli pierwszymi, których spotkał taki okrutny los.

Pewnego dnia usłyszałam silne dobijanie się do drzwi. Otworzyłam drzwi i zobaczyłam pięciu mężczyzn, w rosyjskich mundurach z bagnietami na karabinach skierowanych w moją stronę. Jeden z nich wystąpił do przodu i powiedział łamaną polszczyzną: „przyszlśmy przeszukać dom. Mamy podstawę sądzić, że Pani ukrywa broń w swoim domu”. Bez słowa pozwoliłam im wejść do środka, a oni weszli jeden po drugim do środka i w ciszy z wielką wprawą przeszukali dom. Po zakończeniu rewizji, ten sam żołnierz, który rozmawiał ze mną poprzednio, zapytał: „Pani dziadek nazywał się

Antoni Boniowski? „Tak” – odpowiedziałam i zamarłym sercem pomyślałam, że mój dziadek był zagorzałym antykomunistą. „I pani mężem jest Kazimierz Andrzejczek, oficer polskiej policji?” – dodał. „Tak” – odpowiedziałam. Wyglądało na to, że wiedzą wszystko o mojej rodzinie i wtedy dotarło do mnie, że nie jest to rutynowa rewizja! „Gdzie jest pani mąż?” – zapytał. „Nie wiem” – odpowiedziałam i pomyślałam, że lepiej nie mówić co wiem o mężu.

Nie wiedziałam, czy Kazimierz jest jeszcze przetrzymywany w tym samym więzieniu⁽¹⁾, więc postanowiłam pojechać i go odwiedzić. Zostawiłam córeczkę z siostrami i udałam się na dworzec kolejowy. Dworzec był wyludniony i tylko dwóch strażników sprawdzało tory. Gdy jeden z nich mnie zauważył, podszedł do mnie i cicho wyszeptał: „Co pani tutaj robi? Czy pani oszalała? Proszę wracać do domu! Właśnie podjechał pociąg, którym będą wywozić Polaków w głąb Rosji. Lada chwila zaczną spędzanie ludzi! Proszę

szybko stąd uciekać!” Zadrżałam na myśl, kto będzie zesłany tym razem! Pomyślałam o swoich znajomych i krewnych, gdy nagle przeszła mnie straszna myśl! To ja będę zesłana i wywieziona! Oczywiście, że tak! Ta rewizja w moim domu nie była przypadkowa. Na Boga! Co mogłam zrobić? Uciec? Ale dokąd? Przecież wszędzie mnie znajdą! Różne myśli przychodziły mi do głowy. Starłam się je uspokoić i ponownie rozważałam sytuację. Nie znalazłam żadnego rozwiązania, z wyjątkiem tego, że muszę się przygotować na wszystko.

Gdy wróciłam do domu znalazłam list od męża. Na kopercie był rosyjski znaczek. Gdy otworzyłam list dowiedziałam się, że mąż znajdował się w Rosji. Była to ostatnia wiadomość jaką od niego otrzymałam.

Rozdział IV

Następne dni były szaleństwem. Biegałam od pokoju do pokoju, gromadząc wszystkie moje kosztowności i ukrywając w piwnicy pod przykryciem z siana. Postanowiłam przekonać moje siostry, aby przeniosły się na wieś i pomimo ich protestów byłam niewzruszona, pomogłam spakować walizki i odprowadziłam do drzwi. Nie pytałam je dokąd mają zamiar się udać, wołałam tego nie wiedzieć. Stałam w progu drzwi trzymając Bogusię na rękach, gdy odchodziły drogą. Gdy zbliżyły się do zakrętu drogi, postawiły walizki na ziemi i pomachały na pożegnanie. Pomachałam im również i wróciłam z płaczem do pustego i smutnego domu. Nie martwiłam się o ich bezpieczeństwo, wiedziałam, że znajdują schronienie. Miałyśmy wielu krewnych, a w tych ciężkich czasach ludzie sobie bardzo pomagali.

Zostałam sama ze swoimi myślami i obawami. Analizowałam sytuację, zastanawiając się kiedy po mnie przyjdą. Miałam dziwne przeczucie, że już niedługo znajdę się w pociągu do Rosji. Ułożyłam córeczkę do snu, włożyłam do walizki trochę jej i moich ubrań, parasol i jedno z ubrań Kazimierza aby mieć ze sobą jakąś po nim pamiątkę. Obawiałam się, że stanie się to już tej nocy i żeby nie być samą poprosiłam dwie moje sąsiadki, młode kobiety, aby towarzyszyły mi w ciągu nocy. Przyszły niezbyt chętnie, a ja poszłam zaparzyć kawę. Moje nerwy były w stanie krańcowego wyczerpania i w zdenerwowaniu wyszarpnęłam sznur z kontaktu, pogrążając cały dom w ciemnościach. Znalazłam w ciemnościach lampy naftowe, zapaliłam, zrobiłam trzy filiżanki kawy i wszystko zaniostałam do salonu. Popijając kawę rozmawialiśmy o sytuacji, w której się znalazłam, o tym, dlaczego nie uciekam, czy się nie boję. Tłumaczyłam swoim przyjaciółkom, że jestem pewna, że po mnie przyjdą tej nocy, i że moja ucieczka nic nie da, bo i tak wszędzie mnie znajdą. Byłam przecież żoną policjanta. W pokoju zaczęło robić się zimno, dorzuciłam więc do ognia

polano i czekałam. Przyszli po mnie o 4 rano! Usłyszałyśmy zbliżający się samochód, a odgłos zatraskiwanych drzwi wyrwał nas z drzemki. Moje towarzyski zaczęły gwałtownie drżeć, a ja przygotowywałam się do tego, co miało za chwilę nastąpić. Musiałam pozwolić czynić im co zamierzają! Rosyjskie psy!

Jeszcze raz w progu moich drzwi stanęło pięciu uzbrojonych żandarmów wojskowych. Weszli do domu. Czterech z nich rozpoczęło rewizję, a piąty – oficer stanął blisko mnie, leniwie rozejrzał się po pokoju i zobaczył moją spakowaną walizkę.

„Czy pani planuje jakiś wyjazd?” – zapytał.

„Nie!” – odpowiedziałam.

„W takim razie dlaczego pani spakowała walizkę?” – zapytał i zaraz dodał – „Tak czy owak ma pani zamiar przyłączyć się do swojego męża!”

Czekałam na nich całą noc, ale gdzieś w podświadomości tliła się nadzieja, że może to wszystko, to tylko zły sen i nie będę musiała opuszczać domu, lecz to ostatnie stwierdzenie odebrało mi tę cichą nadzieję i poczułam jak lodowaty strach ścisnął moje serce. Przerazonym wzrokiem patrzyłam na oficera.

„Co mamy zrobić z pani domem?” – zapytał. „Czy sprzedać go i przesłać pani pieniądze?” Ogarnął mnie histeryczny śmiech. Wiedziałam, że jeśli zgodzę się na jego propozycję nie zobaczę nigdy ani jednego feniga. „Nie!” – odpowiedziałam. „Dom zostawię siostram”. Wyciągnął jakieś dokumenty z kieszeni, wydrukowane po rosyjsku, wyrwał jedną kartkę i podał mi, mówiąc: „Ten dokument określa, że dom pani będzie przekazany siostram. Proszę podpisać tutaj” i wskazał puste miejsce na dole kartki. Nie miałam wyboru, podpisałam. Skinął głową na moje sąsiadki i kazał im również podpisać ten dokument jako świadkom.

Gdy zakończyły się te formalności powoli rozejrzałam się po pokoju, starając się zachować w pamięci wszystkie przedmioty znajdujące się w pokoju. Bóg jeden wiedział, czy kiedykolwiek zobaczę jeszcze swój dom! Oficer był życzliwym człowiekiem. Zapytał mnie jeszcze: „Czy ma pani jeszcze jakieś życzenie?”. W milczeniu kiwnęłam głową w obawie, że gdy wydobędę z siebie choć jedno słowo, po prostu się rozplaczę. „Czy zatem jest pani gotowa?” – zapytał. Poczulałam nagły przyływ gniewu i złości. „Nigdy nie będę gotowa z nimi pójść” – myślałam. Podeszłam do dziecka pogrążonego we śnie w swoim łóżeczku, popatrzyłam jak spokojnie śpi, wzięłam je na ręce i przytuliłam do siebie. Dzięki Bogu miała tylko 9 miesięcy i nie rozumiała, co się wokół niej działo. Zabrałam dwa koce z jej łóżeczka, otuliłam ją nimi i spojrzałam na moje sąsiadki, próbując się uśmiechnąć. Jedna z nich wpatrywała się gdzieś przed siebie, a druga żuła palce zaciśniętej pięści. Czterech żołnierzy weszło do mieszkania, każąc

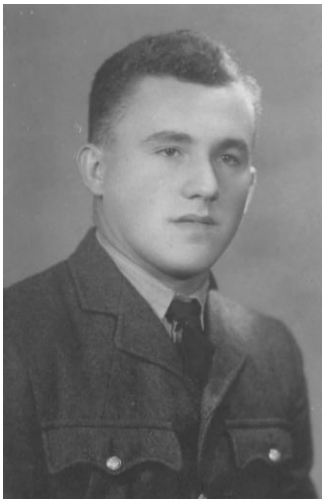
mi wyjść. Wzięłam walizkę i płaszcz i podążyłam za nimi. Powiew zimna uderzył mi w twarz i Bogusia zaczęła kwilić, tuląc buzię do mojego ramienia. Przed wejściem do samochodu odwróciłam się i po raz ostatni spojrzałam na mój dom. Wyglądał ciepło i przytulnie, chociaż cały był pogrążony w ciemnościach. Boże! Jakie szczęśliwe chwile przeżyłam w tym domu! Wybuchnęłam płaczem, nad którym nie mogłam zapanować, a oficer widząc moje cierpienie podszedł do mnie i wyrecytował często powtarzane powiedzenie: „Nie taki diabeł straszny jak go malują”, dodając: „Może lepsze dni ci są pisane”. Mówiąc te słowa podał mi ramię i pomógł wejść do samochodu. Później dowiedziałam się od innych zesłańców, że wszystkich zabrano z ich domów o jednej godzinie, i że nie wszyscy mieli szczęście do przywoitych żołnierzy, a niektórzy zesłańcy mogli wyjść tylko w tym, co mieli na sobie. O czwartej nad ranem ludzie mieli na sobie piżamy i szlafroki.

cdn.

1) *Kazimierz Andrzejczek więziony był prawdopodobnie w Stanisławowie. Jego nazwisko znajduje się na liście pomordowanych w Ostaszkowie w opracowaniu Jędrzeja Tucholskiego „Mord w Katyniu”, wyd. przez Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1991, str. 268. (przypis redakcji)*

Mój Brat

Anna Bocheńska



Mój Brat, Stanisław Panachida urodził się 4 października 1922 r. w miasteczku Tłumacz, w woj. stanisławowskim, leżącym na wschodnich rubieżach Polski. Jego dzieciństwo, młodość, a przede wszystkim dorosłe życie były ściśle związane z tragiczną sytuacją Polaków, którzy podobnie jak On musieli stawić czoło straszliwemu wyzwaniu,

jakim była II wojna światowa - największy konflikt zbrojny w historii świata. Młody, 18 - letni, utalentowany, pełen marzeń chłopiec, żyjący w szczęśliwej rodzinie, musiał niemal z dnia na dzień stać się dorosłym człowiekiem, na którego w dużym stopniu spadła odpowiedzialność za losy pozbawionej ojca rodziny.

We wrześniu 1939 r., dwie zbrodnicze armie - Niemiec i ZSRR wkroczyły na teren Polski, wolnego, demokratycznego państwa. Celem

agresji było wymazanie Polski z mapy Europy min. poprzez eksterminację Polaków, w szczególności zaś wymordowanie polskiej inteligencji. Tłumacz znalazł się pod okupacją sowiecką. Fakt ten sprawił, że losy naszej rodziny potoczyły się zgodnie z planem sowieckich agresorów. W końcu września, o 2 w nocy usłyszeliśmy łomotanie kolbami karabinów do drzwi i głośny rozkaz - "otwierać". Przeprowadzono rewizję, a ojca aresztowano i osadzono w więzieniu. W trakcie wyprowadzania Ojca, wstrząśnięci i przerażeni, wołaliśmy: Tata..., Tata.....!. On się zatrzymał, odwrócił i powiedział do czwórki płaczących dzieci i nieprzytomnej z rozpaczy Matki: „ Nie płaczcie, ja wrócę!” Niestety, nigdy już nie wrócił. Został zamordowany, poprzez strzał w tył głowy, w lesie pod Bykownią niedaleko Kijowa, podobnie jak kilkadziesiąt tysięcy innych Polaków w Katyniu, Charkowie i Miednoje.

Kilka miesięcy później, 13. 04. 1940 r. cała moja rodzina (w tym również mój Brat Stanisław) została wyrzucona z rodzinnego domu, który z takim trudem zbudowali nasi Rodzice. Załadowano nas do bydłowych wagonów, gdzie jedynym widokiem na świat był skrawek nieba w wąskiej szczelinie pod dachem wagonu i otwór w podłodze, przez który usuwano ekskrementy i wywieziono na Syberię, do Kazachstanu, kilka tysięcy kilometrów od rodzinnego domu i Ojczyzny. Osiedlono nas we wsi Pieszkówka niedaleko miejscowości Kustanaj, u rodziny miejscowych mieszkańców, po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu. Brat razem z Matką i siostrą Józią ciężko pracował, aby utrzymać nas przy życiu. Wykonywał prace ponad ludzkie siły, niemal niewolniczą, kopiąc studnie i pracując od świtu do nocy przy budowie linii kolejowych, za kawałek chleba. W 1941 roku, po podpisaniu porozumienia w sprawie utworzenia armii polskiej, pomiędzy gen. Władysławem Sikorskim, reprezentującym rząd angielski i Stalinem, Brat zgłosił się na ochotnika do wojska i po pożegnaniu się z Matką i siostrami, wraz z nowo utworzoną armią opuścił „niehumanitarną ziemię”, Matka i trzy Jego siostry pozostały cierpiąc głód i mrozy dochodzące do 40-50 st. W 1942 roku, w pierwszym transporcie, przez Morze Kaspijskie, Iran, Irak dostał się do Bombaju w Indiach. Z Bombaju statkiem, wraz z innymi Polakami popłynął przez Ocean Indyjski do Cape Town w Afryce Południowej, Libreville w Gabonie aby wreszcie szczęśliwie dotrzeć do Wielkiej Brytanii. Stanisław znalazł się wśród kilkudziesięciu tysięcy innych Polaków, którzy gotowi byli walczyć. Zgłosił się do Królewskich Sił Powietrznych (RAF), skończył szkołę dla techników radiowych i zaczął służbę przy obsłudze samolotów bojowych. Brał udział w wielkiej operacji desantowej aliantów we Francji

– w Normandii w ramach operacji Overlord w czerwcu 1944 r.

Po zakończeniu wojny i zdemobilizowaniu nie mógł wrócić do stalinowskiej i komunistycznej już Polski. Jego rodzina wciąż przebywała na Syberii, nie miał domu, ani bliskich mu ludzi, a jemu samemu groziło więzienie, a nawet śmierć. Musiał szukać nowej ojczyzny i nowego domu. Wraz z innymi kolegami zdecydował się wyjechać do Brazylii. W Brazylii, w Kurytybie poznał swoją przyszłą żonę Irenę Ruszyńską, założył rodzinę i otworzył prywatną firmę - warsztat elektryczny. Niestety, po kilku latach pracy warsztat został podpalony, a cały dorobek jego dotychczasowego życia został zniszczony. Był to wielki cios, który zniszczył mu zdrowie i zostawił bolesny ślad w pamięci na całe życie. Stanisław był twardym i zahartowanym człowiekiem, uznał więc, że jeszcze raz spróbuje zacząć swoje życie od początku.

Wraz z żoną i małym synkiem Ryszardem w 1961 r. wyjechał do USA, do Atlanty i tu pozostał do dnia swojej śmierci, przeżywając spokojnie, szczęśliwie i dostatnio resztę swojego życia.

Zmarł w Atlancie, w Stanach Zjednoczonych, 16 lutego 2007 roku.

Wspomnienie o Władku Hapońskim

Władysław Geruła

Władek przyszedł na świat w Hrubieszowie w dniu 17 maja.1925 roku. Tam też w 1937 roku, po ukończeniu szkoły powszechnej w Sokołowie Podlaskim rozpoczął naukę w Gimnazjum Księży Salezjanów. W 1938 roku ojciec Władka, pan Wincenty Hapoński został przeniesiony do Tłumacza na stanowisko Naczelnika Urzędu Skarbowego. Otrzymał mieszkanie w budynku, gdzie mieścił się Urząd. Tu też miała swą siedzibę Komenda Związku Strzeleckiego. Wspominam o tym dlatego, że w maju 1935 roku Władek jako 10 - latek otrzymał Dyplom Z.S. nr 210 za spełnienie Czynu Obywatelskiego poprzez oddanie 10 strzałów „Ku Chwale Ojczyzny”. Wojsko było Jego żywiołem, więc związał się z Z.S. gdzie była broń, sprzęt wojskowy i odbywały się ćwiczenia. To Go pasjonowało i było Jego światem.

W Tłumaczu kontynuował naukę w Państwowym Gimnazjum i Liceum. Siedział w pierwszej ławce w środkowym rzędzie. Był chłopcem żywym, często przeszkadzającym na lekcjach. Nasz wychowawca, prof. Dąbek miał zwyczaj cicho podchodzić do hałasującego, niesfornego ucznia i uspokajał go kuksańcem. Jeżeli delikwent wcześniej zauważył profesora lub został ostrzeżony, że nadchodzi, przyjmował pozycję

wyprostowaną jak struna i zakładał ręce na piersi. Uczeń unikał wówczas kary. Była to ulubiona i jak się okazało skuteczna metoda Władka.

W latach 1939-41, w okresie pierwszej okupacji sowieckiej, uczęszczał do niepełnej średniej szkoły, którą ukończył tuż przed wojną niemiecko-sowiecką. W okresie okupacji niemieckiej (czerwiec 1941- lipiec 1944) pracował z kilkoma innymi kolegami min. Jasiem Bielańskim w prywatnym zakładzie ślusarsko-mechanicznym u pana Andrusiewicza. Ponieważ pan Andrusiewicz miał dobre kontakty z władzą to praca w tym zakładzie chroniła go przed wywózką na roboty do Niemiec. Dla Władka były to trudne czasy. Jego ojca aresztowali Niemcy więc utrzymanie Babci i Matki spadły na Jego barki. Imał się więc różnych zajęć gdyż zarobki w zakładzie nie należały do wysokich.

W sierpniu 1944 r.wraz z innymi kolegami powołany został do wojska. Rodziny i dziewczęta odprowadzały nas daleko poza miasto. Droga do wojska wiodła przez Stanisławów, Lwów, Przemyśl do Jarosławia. Tu rozeszły się nasze drogi. Jedni pozostali w Jarosławiu inni zostali wysłani do Lublina. W czasie wspólnej drogi rozmawialiśmy do jakiego rodzaju broni chcielibyśmy otrzymać przydział. W rozmowach wykluczaliśmy piechotę, a także saperów. Los bywa jednak złośliwy. Władek dostał przydział właśnie do tej najbardziej niechcianej formacji i po ukończeniu podoficerskiej szkoły saperów otrzymał przydział do 33 Samodzielnego Zmotoryzowanego Pontonowo-Mostowego Batalionu Saperów. W czasie walk został ciężko ranny. Zdemobilizowano Go jako 85% inwalidę wojennego. Po wojnie ukończył Liceum dla Dorosłych, założył rodzinę. Wraz z żoną Krystyną z d. Gierczak wychował syna i córkę. W 1954 r. rozpoczął studia w Wieczorowej Szkole Inżynierskiej w Lublinie. W latach 1950-1985 pracował zawodowo na różnych stanowiskach, min. w szkolnictwie zawodowym, a także w szkole górniczej w Lublinie. Gdy znalazł się na emeryturze udzielał się społecznie w Klubie Oficerów Rezerwy i Związku Inwalidów Wojennych. Jak wspominałem, nasze drogi rozeszły się w sierpniu 1944 r. Spotkaliśmy się ponownie po raz pierwszy dopiero w styczniu 1996 r., na Oplątku Klubu Tłumaczan we Wrocławiu. Dobry Bóg był dla nas łaskawy i sprawił, że po tylu latach strasznych przeżyć spotkaliśmy się ponownie. W czasie oplątku Jurek Czyżycki powiedział mi: „Władziu, zobacz jest Władek Hapoński, z którym siedziałem w pierwszej ławce, a za nim siedziałeś ty - zróbmy sobie zdjęcie na pamiątkę”. Ja odpowiedziałem mu natomiast: „zapomniałeś, że za tobą siedział Jasio Bielański, a on też tu jest”. Pomyślcie jak to czasem w życiu bywa! Po 57 latach spotkali się

koledzy siedzący w dwóch pierwszych ławkach. Na tym opłatkowi zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcie! (Fot. 23) Na naszych corocznych wczasach Ogólnopolskiego Oddziału Tłumaczan w Kołobrzegu spotykaliśmy się jeszcze kilkakrotnie. W czasie tych pobytów rozmawialiśmy przede wszystkim o latach 1939-1945. Były to niekończące się rozmowy o tamtych bardzo ciężkich czasach. Wspomnienie, jakie piszę ma bardzo wiele luk. W czasie tych kilku spotkań trudno było „przedyskutować” ponad 50 lat naszego życia. Wspomnienie to oparłem o skąpą dokumentację rodzinną nadesłaną przez żonę Władka, oraz o to, co pozostało w mej pamięci. Władze państwowe i wojskowe doceniły pracę Władka, oraz Jego zaangażowanie w dziedzinie obronności kraju, w pracy

z młodzieżą i uhonorowały odznaczeniami wojskowymi. Za działalność społeczną otrzymał szereg odznaczeń, a za wkład w wychowanie młodzieży został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Z wojskiem był związany od dziecka, posiadał zezwolenie na noszenie munduru w czasie uroczystości państwowych i Jego życzeniem było pochowanie w mundurze. Tak też się stało, a Sztandar Związku Inwalidów Wojennych towarzyszył mu w ostatniej drodze.

Zmarł 06.09.2006r. w Lublinie i tam został pochowany.

W zmarłym Władku tracimy serdecznego i szanowanego Kolegę i Przyjaciela.

Zegnaj drogi Władku ! Spoczywaj w pokoju.

Kołobrzeg 2007

Jerzy Czyżyki

Zgodnie z wieloletnią tradycją, również w tym roku przyjechaliśmy do Kołobrzegu na dwutygodniowe wczasy. Tym razem zamiast tradycyjnie w czerwcu, bawiliśmy tam od 7 do 20 maja. Mieliśmy obawy, jaka będzie pogoda, czy nam dopisze i czy dadzą się nam we znaki majowe chłody. Kierownik ośrodka zapewniał nas, że postara się, aby nas nie zamroziło. Miałem wiele obaw, czy zbierze się komplet wczasowiczów? Wszak nie jesteśmy już młodzi i moje czarnowidztwo miało podstawy. Okazało się, że należymy do „twardzieli” i nic nas nie jest w stanie zniechęcić. Nie mieliśmy poza tym wyboru, więc pojechaliśmy. Zgłosiło się 20 odważnych tłumaczan, a dodatkowo do naszego grona dołączyli nasi sympatycy. W sumie było nas 35 osób, plus 4 wnuki. W miarę upływu lat, malał udział tłumaczan w naszych kołobrzeskich spotkaniach. Mając do dyspozycji wolne miejsca w ośrodku proponowałem udział w naszych wczasach znanym mi kresowiakom. Początkowo było to kilka osób. Dzisiaj to grupa kilkunastoosobowa, w dużej części nie mająca żadnych kresowych korzeni. Są młodszy od nas i niedawno zasilili grupę emeryckich „darmozjadów”. Początkowo czuli się trochę obco, ale po kilku razem spędzonych wczasach wtopili się w tłumacką społeczność, wnosząc trochę młodej krwi. Ta symbioza okazała się korzystna dla obu stron. Wśród sympatyków są byli nauczyciele i dla nich pobyt wśród nas był odkryciem historii, której nie znali. Dzięki nam ich wiedza o Kresach i naszej ekspatriacji poszerzyła się i wypełniła lukę, którą pozostawiła PRL - ska edukacja. Dodać należy, że niektórzy stali się

nawet członkami naszego Oddziału i prenumeratorami Z. T. (Fot. 23 i 24)

Z Wrocławia wyruszyliśmy przy akompaniamencie drobno padającego deszczu. Na peron wtoczył się nasz pociąg z Krakowa, w którym wygodnie się usadowiliśmy. Nie było tłoku, więc na wstępie naszej podróży humory się nam nieco poprawiły. Im dalej na północ, pogoda stawała się coraz lepsza i już za Poznaniem słońce przedarło się przez chmury, poprawiając jeszcze bardziej nasze samopoczucie. Gdzieś w połowie drogi do Piły słońce wyjrzało na dobre i do Kołobrzegu dojechaliśmy w doskonałych humorach. Nadmorska aura sprawiła nam miłą niespodziankę. Po przyjeździe rozlokowaliśmy się szybko i zgodnie z planem, po czym udaliśmy się nad morze, aby się z nim przywitać i sprawdzić czy coś się zmieniło. Następnego dnia rano powitał nas zachmurzeniem, a prognozy nie były optymistyczne. Jeżeli miałbym określić pogodę podczas naszego pobytu, to powiedziałbym, że mieliśmy właściwie wszystkie jej rodzaje: był deszczyk o różnym nasileniu, zmienne zachmurzenie, wiatr, a nawet przenikliwie zimno. Były też dni z prześwitami słońca, które ładnie nam świeciło. Udało się nam nawet zobaczyć, jak zachodzące na horyzoncie słońce kąpało się w morzu! Powiedzcie sami, czy było źle? (Fot. 31) Ja uważam, że było dobrze i nie można narzekać. Pamiętam znacznie gorszą pogodę na przestrzeni 17 lat naszego wczasowania w Kołobrzegu. Najważniejsze, że humory jak zwykle dopisywały. Jak zwykle od wielu lat codzienny rytuał to poranna wędrówka do „miasta” po zakupy na śniadanie, a następnie, po porannych przedbiegach niestrudzone Tłumaczanki wędrówki

po sklepach i dzielenie się informacjami – gdzie, co i za ile można kupić. Trudno też nie wspomnieć o „wycieczkach” do pobliskich barów, aby zachować „kondycję” i uzupełnić kalorie zużyte wędrówkami. Na obiady, jak zwykle serwowane z kuchni pana Tadeusza narzekać się nie godzi. Chwalimy ją sobie od wielu lat, tym bardziej, że prawie codziennie, po obiedzie cieszyły nasze oczy scenki pod okienkiem kuchni, gdzie nasze Panie odbierały zamówione u pana Tadeusza wypieki, w postaci serników, jabłeczników i różnych innych ciast, aby starczało sił na codzienne zmagania z wędrówkami nad morze i nie tylko. Do stałej tradycji należą też spotkania w grupkach, wzajemne odwiedzanie się, na których przy „suto” zastawionych stolikach, rozbawione bractwo opowiada, gada i podjada smakołyki, czasem popijając jakimś znakomitym trunkiem, spędzając w ten sposób nie tylko wieczory. Wśród nas byli też wczasowicze, którzy tkwili przed ekranami TV, gdyż bez serialu „M jak Miłość” lub innego, czy też wiadomości, obejść się nie mogli. Dzisiejszy ośrodek kołobrzescki w niczym nie przypomina dawnego! W każdym domku jest WC, kabina z natryskiem, umywalka no i oczywiście telewizor w każdym pokoju. W ośrodku są także trzy pokoje, w których nie ma tego nowoczesnego urządzenia, dlatego był to ogromny problem dla niektórych osób. Bez TV nie wyobrażają sobie wczasowania! No cóż! Różne są gusta i formy wypoczynku..

Spotkanie w Kołobrzegu jest też coroczną okazją do zorganizowania statutowego zebrania i poinformowania członków o pracy zarządu w poprzednim roku, zatwierdzenia wyników finansowych oraz wytyczenia zadań na następny rok. W tym roku również mieliśmy okazję poznać nowych członków Oddziału, „odnalezionych” niedawno, pochodzących z Jezierzan, Państwa Ornatowskich i Panią J. Gierak. **(Fot. 23)**

Nieodczownym wydarzeniem, wpisanym w program pobytu w Kołobrzegu jest ognisko. Jak zwykle pałaszowaliśmy doskonały żurek, przypiekaną kiełbaskę i kaszankę, popijaliśmy piwkiem, odrobiną „Jurnego Wina”, i od czasu do czasu jakimś mocniejszym napojem.

Przy dźwiękach muzyki bractwo tańczyło aż miło, a w roli DJ – a wystąpiła Monika. Zabrakło niestety w tym roku stałych piewców i musiała jedynie wystarczyć, zaśpiewana przeze mnie piosenka o Tłumaczu. Odczytałem także dwa wiersze: Mariana Jonkajtysa – „To o Was, Bezimienne” poświęcony Matkom Polkom, sybiraczkom i „Trzy

ziemie” – Feliksa Konarskiego - Re-F ren-a o ziemiach: wileńskiej, wołyńskiej i lwowskiej. Zorganizowaliśmy też wyjazd autokarem na wojskowy cmentarz - nekropolię kołobrzescką, gdzie pochowano poległych w 1945 r. żołnierzy I Armii WP. Chwilą zadumy i modlitwą uczciliśmy pamięć tych, którzy złożyli Ojczyźnie najwyższą daninę oddając swoje życie. O Kołobrzegu nie będę się rozpisywał, gdyż zmienia się i pięknieje z roku na rok . Tym, którzy chcieliby zobaczyć, jak w istocie wygląda miasto proponuję: przyjedźcie i zobaczcie sami. Przeżyliśmy w tym roku, w Kołobrzegu jeszcze jedną uroczystość, którą nie mogę pominąć! Wśród nas jak co roku, bawiła Anastazja Bogucka (Nacia) z d. Białkowska. W przeddzień zakończenia turnusu, w czasie obiadu, Józio Duszyński wygłosił laudację na Jej cześć i wręczył wiązanek kwiatów. Powiedział, że Nacia jest w naszym gronie seniorką, i jutro obchodzi urodziny. Za Jej zgodą oznajmił, że kończy 88 wiosnę swego życia. Odśpiewaliśmy Jubilatce tradycyjne 100 i więcej lat, które zaintonował kierownik Marek. Jubilatka była wyraźnie wzruszona i dziękowała nam za pamięć, a uroczystość nie mogła się odbyć bez tradycyjnego zdjęcia. **(Fot. 27 i 30)**

Następnego dnia w bardzo szczupłym już gronie, gdyż większość wyjechała porannym pociągiem odbyło się małe „przyjęcie”, na którym niestety nie byłem i wyborczego wina marki „Kadarka” nie spróbowałem! Ubolewam bardzo z tego powodu, ale kronikarskim zwyczajem odnotowuję w moim kołobrzesckim wspomnieniu.

I na zakończenie, chciałbym w imieniu Zarządu Oddziału i wczasowiczów, załozde ośrodka czyli zawsze uśmiechniętym Eli i Monice, stale zabieganemu i uczynnemu Stasiowi pod kierownictwem ich wodza, Marka serdecznie podziękować. Życzymy Wam, by cały tegoroczny sezon pozostawił jak najlepsze wspomnienia. Mam nadzieję, że w przyszłym roku znowu się spotkamy. Co by jednak nie mówić, i tym razem wbrew obawom, pobyt w Kołobrzegu anno domini 2007 był udany. No, to do zobaczenia w 2008 r. !

Podziękowanie

Elżbieta Niewolska

Drodzy Tłumaczenie,
W dniu 19 grudnia 2006 r. Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa uhonorowała mnie Medalem Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Przyznano go w uznaniu zasług na rzecz przywracania i utrwalania pamięci o historii kresów wschodnich Rzeczypospolitej, oraz ich popularyzacji. Odznaczenie to sprawiło mi ogromną radość

i satysfakcję. Mam pełną świadomość, że praca nad dokumentowaniem historii Tłumacza i jego mieszkańców wykonywana była przez wiele lat, przez bardzo duże i zaangażowane grono Tłumaczan, a ja jestem tylko kontynuatorem tego dzieła i mam nadzieję, że nie ostatnim. Miłość do Tłumacza i kresowej ziemi, którą zaszczepili mi moi Rodzice nosiłam w sercu już od dzieciństwa, ale dopiero kontakt ze społecznością tłumacką i praca nad Zeszytami Tłumackimi sprawiły, że poważnie zainteresowałam się ich historią. Jestem wdzięczna Tłumaczanom, że umożliwili mi redagowanie tego pisma. Przeglądam pamiątki zgromadzone przez dra Michała Nikosiewicza, czytam listy do Niego, patrzę na twarze ludzi na starych fotografiach sprzed lat i myślę o Tłumaczanach z wielkim podziwem, a nawet zazdrością. Byli to zwykli ludzie z małego, ciężko doświadczanego przez historię, kresowego miasteczka, a ileż w nich było i jest do tej pory

radości życia, pasji i miłości do rodzinnej ziemi. Tak bardzo brakuje tego współczesnym Polakom! To dzięki Wam, drodzy Tłumaczanie uczę się historii Polski, rośnie moja wiedza o Polsce, poczucie dumy narodowej i szacunek dla mojego Narodu.

Drodzy Tłumaczanie!

Odnaczenie to składam na Wasze ręce w uznaniu zasług na rzecz utrwalania Pamięci o ziemi tłumackiej, bo to Wy jesteście godni tego odznaczenia. Szczególna wdzięczność należy się dr Michałowi Nikosiewiczowi, który gromadził tłumackie pamiątki, Danucie Tabińskiej-Juhasz, wieloletniemu redaktorowi nacelnemu Zeszytów Tłumackich, zespołom redakcyjnym, Zarządowi Oddziału Tłumaczan oraz wszystkim autorom drukowanych artykułów, którzy przez wiele lat tworzyli Zeszyty Tłumackie.

Odnaczenie to traktuję jako motywację do lepszej pracy i mam nadzieję, że nigdy Was nie zawiodę!

Odeszli

<p>Bolesław Piotrowicz ur. 28. 11.1925r. zm. 18. 06. 2006r. w Gdyni</p>	<p>Władysław Hapoński ur. 17. 05.1925 zm. 06. 09. 2006 w Lublinie</p>
<p>Stanisław Panachida ur. 04.10. 1922r. w Tłumaczu zm.16. 02. 2007r. w Atlancie - USA</p>	<p>Teresa Sawina z d. Kordzińska ur. 1927r. zm. 20. 02. 2007r. w Tarnowie</p>
<p>Ludmiła Tchorz z d. Bilińska ur. 16. 09. 1926r. zm. 15. 03. 2007r. w Krakowie</p>	<p>Jan Stimm ur. 20. 02. 1930r. zm. 27. 05. 2007r. w Lionie - Francja</p>

Wyrazy głębokiego współczucia wszystkim rodzinom zmarłych z powodu śmierci Bliskich, składają koleżanki i koledzy Oddziału Tłumaczan oraz Redakcja.

Komunikaty

Informujemy, że Odpust w Siedlakowicach odbędzie się w dniu 29 lipca 2007r o godz. 12,00. Członków i sympatyków naszego Oddziału serdecznie zapraszamy.

Zarząd.

Lista ofiarodawców

1.	Czesława Kaluża	Kraków	7
2.	Henryk Woroszczuk	Lubin	67
3.	Stanisław Bohosiewicz	Szczecin	15
4.	Władysław Czerniak	Miasteczko Śl.	5
5.	Włodzimierz Tomyn	Warszawa	117
6.	Zofia Górecka	Dębica	17
7.	Jan Bielański	Wrocław	17
8.	Stefania Piotrowska	Sanok	67
9.	Adam Cayż	Zielona Góra	67
10.	Stanisław Fudali	Szczecin	7
11.	Teresa Lichterowicz	Częstochowa	67
12.	Romuald Tuzinkiewicz	Wrocław	67
13.	Stanisława Hołyńska	Łódź	17
14.	J. A.J. Reich	Warszawa (?)	67
15.	Henryka Jankowska	Lubsko	34
16.	Wanda Fedorowicz	USA	25
17.	Romana Paczka	Nysa	22
18.	Aniela Piszkiwicz	Szwecja	17
19.	Jan Johnson	Nysa	22
20.	Elżbieta Biś	Wrocław	17
21.	Jan Masłowski	Wrocław	12
22.	Maria Dostal	Wrocław	5
23.	Władysław Geruła	Wrocław	17
24.	Józef Duszyński	Wrocław	67
25.	Zygmunt Burczyński	Żary	52
26.	D. Tabińska-Juhasz	Wrocław	37
27.	Maria Adamczak	Oborniki Śl.	37
28.	ST. Harasymowicz	Wrocław	10
29.	Jerzy Czyżycki	Wrocław	17
30.	Władysław Rzucidło	Warszawa	15
31.	Barbara Jeżowska	Nowy Sącz	67
32.	Jerzy Pielasz	Gliwice	17
33.	Rafał Bula	Chelm Śląski	17
34.	Zdzisław Janicki	Wschowa	5
35.	Mirosława Marcinowska	Warszawa	67
36.	Jadwiga Storożenko	Katowice	67
37.	Tadeusz Szmyd	Kraków	17
38.	Jan Wójtowicz	Nowa Sól	15
39.	Janina Pactwa	Gdańsk	50
40.	Józef Czohara	Chorzów	17
41.	Krystyna Piotrowicz	Wrocław	17
42.	Anna Apanowicz	Kielce	167
43.	B. M. Woroszczuk	Wrocław	217
44.	Krystyna Helt	Wrocław	67
45.	E. Bilut, E. Śniechowski	Anglia	75
46.	K. J. Wojtkowiak	Bierutów	67
47.	Janina Juszcak	Jeżów Sud.	17
48.	Jadwiga Szczepińska	Puławy	17
49.	Zdzisław Kłonowski	Gryfino	27
50.	Krystyna Szymulowicz	Stargard Gub.	17
51.	R. Lityńska-Króliczek	Ruda Śl.	17
52.	Aniela Wypych	Stargard Gub.	17
53.	Anastazja Bogucka	Gdańsk	67
54.	Janina Kubica	Warszawa	50
55.	Helena Zabojska	Bydgoszcz	17
56.	Anna Szymulowicz	Stargard Gub.	67
57.	Janina Ornatowska	Warszawa	17
58.	Wł. Ornatowski	Warszawa	17
59.	Jadwiga Gierak	Gostynin	50
60.	Jadwiga Królikowska	Wrocław	7
61.	Józefa Prymakowska	Nowa Sól	67

Podziękowania

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy serdeczne podziękowania.

Nasze czasopismo dofinansowywane jest przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa.
Za dotację serdecznie dziękujemy.

Redaguje zespół w składzie: Elżbieta Niewolska – redaktor naczelny, Danuta Tabińska-Juhasz – zastępca oraz Anna Panachida - Bocheńska, Helena Bilińska, Adam Biliński.

Adres Redakcji: TMLiKPW Ogólnopolski Oddział Tłumaczan, 50 – 079 Wrocław, ul. Ruska 32/33, I piętro, tel./faks 071/ 344 88 93

Konto Bankowe: PKO BP IV OWrocław 53 1020 5242 0000 2102 0131 9631 TMLiKPW Zarząd Główny

Skład i druk: Centrum Druku i Reklamy Sp. z o.o. 54 613 Wrocław, ul. Krzemieniecka 46, tel. 071/7903303

W publikowanych tekstach zastrzegamy sobie prawo dokonywania skrótów, zmian tytułów oraz poprawek stylistyczno – językowych. Na życzenie autorów zwracamy przesłane materiały.